№ 25. Warszawa, dnia 21 (9) Czerwca 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Włodzimierska Nr. 2.**
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Z powodu zbliżającego się nowego kwartału ponawiamy naszą prośbę o wczesne nadsyłanie prenumeraty, o ile można, bezpośrednio do administracyi **Prawdy.**

Od 8 lipca Redakcya i Administracya PRAWDY mieścić się będą w domu przy ulicy Zielnej nr. 7-a.

NOWOTWORY.

Dotychczas socyalizm cieszył się lub szczycił surową moralnością i otaczał nimbusem męczeństwa, krwawiąc swoje ręce tylko w aktach zemsty. Było to wszakże łatwem do przewidzenia, że i on, rozradzając się na coraz liczniejsze gatunki, wyda z siebie zbrodnie. Zepsucie, chociaż się rozkłada w nierównej mierze na rozmaite żywioły, nie omija jednak żadnego. Kroniki kryminalne znają morderców bigotów i ateuszów, katolików i protestantów, ciemnych i ukształconych, a teraz zaczynają wciągać na swe karty imiona ludzi, którzy dotąd wchodzili do więzień innemi drzwiami, niż zwykli zbrodniarze i rabusie.

W ostatnich czasach słyszeliśmy często o broczeniu się socyalizmu w krwi ofiar niewinnych, o jego zmianie środków walki na broń, która tylko w rękach zbójców spoczywać zwykła. Kilka nawet procesów za granicą ujawniło tę gangrenę, ale dopiero świeżo w Wiedniu na śmierć skazany H. Stellmacher jest wyrazistem wcieleniem mieszaniny najrozmaitszych instynktów. Przypatrzmy się tej postaci, bo ona nas wiele uczy.

Stellmacher ma dopiero lat 31, żonę i dwoje dzieci, z zawodu szewc. Uciekłszy do Szwajcaryi, pracuje w administracyi, a następnie w redakcyi najczerwieńszego pisma — *Freiheit*. Stąd przybywa do Wiednia, gdzie przygotowywa z towarzyszami bomby dynamitowe, morduje siekierą bankiera Eiserta z maleńkimi synami i obrabowywa jego kantor z pieniędzy, następnie w biały dzień na placu zabija agenta policyjnego Blöcha. Przed sądem rozwija spokojnie własną teoryę socyologiczną. „Istnieją — powiada apostolskim głosem — dwa rodzaje własności: konieczna i niekonieczna. My socyaliści, anarchiści i rewolucyoniści walczymy tylko o pierwszą. Rozumiemy przez nią wszystko, czego ludzie potrzebują dla utrzymania swego ciała, dla wzmocnienia i zbogacenia swego ducha. Walczymy o dobro każdej jednostki. Jest to fałszywem i spaczonem pojęciem, jeśli mówią: wtedy ktoś będzie chciał nosić cudzą odzież, bo ona mu się lepiej podoba — albo też — ktoś będzie chciał spać w cudzem łóżku, bo ono mu się lepiej podoba. Ten, komu cudza odzież bardziej się podoba, będzie mógł sobie sprawić takąż samą. Również fałszywem i spaczonem jest mniemanie, że są robotnicy, którzy nie zechcą pracować nad ubraniem. Już dowiedziono, że ludzie czują do jednej pracy większy pociąg, niż do drugiej, do każdej zatem znajdą się potrzebni robotnicy. My walczymy przeciwko własności niekoniecznej, ponieważ ona jest przyczyną nędzy wszystkich ludzi, ponieważ ich czyni niewolnikami, jednym zapewnia używanie w próżniactwie, innym... Czas nie pozwala mi wchodzić w szczegóły, dlatego przystępuję do pobudek, które czyn mój usprawiedliwiają. W krótkości nakreślę życie familii robotniczej. Dzieci rodzą się słabe, często z zarodami choroby, a nawet śmierci. Matka nie może ich karmić, gdyż sama jest głodną itd.“ W ciągu badania, ile razy ono potrącało o niedolę robotniczą, Stellmacher, człowiek kamienny, który z zimną krwią płatał głowy dzieciom Eiserta, wzrusza się, zalewa łzami, objawia głęboki ból i współczucie dla nieszczęśliwych. Nawet w ostatniem przemówieniu zapomina o sobie i piętnuje społeczeństwo, które w swem łonie cierpi wyzysk ekonomiczny i nędzę mas.

Zdawałoby się, że to jest okrutny, ślepy, opętany, ale czysty fanatyk, którego opanowała myśl poprawy losu robotników i który dopomina się dla nich sprawiedliwości. Zdawałoby się — mówimy — że on zamordował i ograbił bankiera, ażeby pomódz swoim ukochanym współuczestnikom niedoli. Tymczasem obejrzmy jego charakter z drugiej strony.

Tenże sam człowiek, który się tak roztczula nad uciskiem klas niższych, był jako podoficer trzykrotnie karany za pastwienie się nad żołnierzami.

Ten sam człowiek, który gromi zepsucie kapitalizmu, za oszustwo skazany był na 45 dni kozy i trzyletnią utratę szczególnych praw, a gdy zamordował agenta policyjnego Blöcha, ukradł mu zegarek z łańcuszkiem i rewolwer.

Ten sam człowiek, który redagował *Freiheit*, jednocześnie ofiarował policyi wiedeńskiej swe usługi jako szpieg, tropiący socyalistów.

Oto jeden z jego listów do posła austryackiego w Szwajcaryi.

„Podpisany pozwala sobie donieść Waszej Ekscelencyi co następ przypuszczając, że tem wyświadczy usługę państwu austryackiemu. Pewien poddany austryacki redagował organ socyalno-rewolucyjny *Freiheit* od 8 lipca do 19 sierpnia 1882. Obecnie znajduje on się w ojczyznie, ciągle jest współpracownikiem tego pisma już od 6 miesięcy. Opuścił redakcyę dlatego tylko, że musiał wrócić do domu dla uporządkowania swoich stosunków majątkowych. Jeżeli państwo austryackie pragnie tego człowieka złapać, jestem gotów za wyna-

grodzenie wymienić jego nazwisko i wskazać miejsce jego pobytu, oraz dostarczyć dowodów, że on *Freiheit* redagował. Sprawę tę jednak musiałbym załatwić co prędzej, gdyż inaczej straciłbym sposobność dokładnego oznaczenia, gdzie on się znajduje. Jeżeli W. Ekscelencya otrzyma z Austryi wiadomość o zawiązaniu ze mną stosunków, mógłbym zaraz przyjechać do Berna, mając wszakże pewność, że koszta podróży będą mi zwrócone. Proszę również o doniesienie, jak wielką będzie zapłata i kiedy ją dostanę. Zwracam jeszcze uwagę W. Ekscelencyi, że gdybym otrzymał honoraryum, mógłbym jeszcze donieść, kto *Freiheit* do Austryi wysyła i jaką drogą. Starałbym się też i o to, ażeby każda posyłka socyalistycznego organu *Social-Demokrat* wpadła w ręce rządu. Państwo austryackie miałoby we mnie najpewniejszego agenta.“

Autor tego i tym podobnych listów był męczennikiem sprawy robotniczej!

Czytelnik niewątpliwie zadaje sobie pytanie: czem ten człowiek właściwie był? Agitatorem, sztyletnikiem rewolucyjnego socyalizmu, czy też złodziejem, mordercą i szpiegiem? O ile śledztwo sądowe odkryło tę dziwaczną naturę, wszystkie te pierwiastki mieściły się w niej łącznie. Stellmacher przedewszystkiem należał do istot spodlonych, które każda epoka nosi w swem łonie, a dla których obojętną jest rola, byle ona tylko zadawalała ich dzikie, niekiedy krwiożercze popędy. Jeżeli na taki grunt padnie ziarno nowej nauki, i ono zakiełkuje śród chwastów moralnych. Jest on najzwyklejszym rabusiem i mordercą, a z tej mieszaniny poświęcenia się ze zbrodnią, powstaje nowotwór socyalny, który coraz częściej wynurza się na wierzch naszych czasów. Socyalizm zaczął się cieniować, przybierać rozmaite, łagodniejsze i ostrzejsze postacie. Do jego najskrajniejszej, anarchicznej strony spływają natury złe, spodlone, rozlewu krwi i łupów tajemnie zdobytych chciwe, które łączą w sobie bohaterstwo z podłością. Nie potrzeba być prorokiem, ażeby przewidzieć, że od przewagi lub osłabnięcia tych nowotworów w socyalizmie zależy jego lepsza lub gorsza przyszłość, sympatya lub odraza społeczeństwa dla prądu, który tak potężnie je przeniknął. Stellmachery są mordercami nietylko agentów policyjnych i bankierów, ale także sprawy stanu czwartego.

Sprawa niewolnic.

Jeżeli większość mężczyzn mniema, że kobieta stworzoną jest na to tylko, „ażeby się ubierać, rozbierać i płakać;“ jeżeli uczeni twierdzą, „że najznakomitsza ma mniej rozumu, niż 16-letni Voltaire;“ jeżeli nawet Marya Antonina utrzymywała, że „niewiasta mieszająca się do spraw pozarodzinnych jest tylko intrygantką,“ doprawdy niedziwnym jest opór przeciwko wszelkiemu wyzwoleniu kobiet. Dotąd przecie są to nie ludzie, ale żywe artykuły spożywcze—dla męskich zmysłów.

Wobec przewagi takiego — rzeknijmy w nawiasie — głupiego poglądu, a nadto wobec żółwiej powolności John Bulla we wszelkich zmianach, które nieraz muszą odlegać się po pół wieku, zanim zostaną przyjęte — nie spodziewaliśmy się, ażeby już w r. 1884 przeszedł w parlamencie angielskim wniosek Woodalla, dopełniający bill reformy i zapewniający kobietom prawo wyborcze. Zasługa poruszenia tej sprawy w Anglii należy się genialnemu i szlachetnemu myślicielowi J. S. Millowi. W książce swej *O rządzie reprezentacyjnym* powiedział on: „Gdyby to było tak słusznem, jak jest niesłusznem, ażeby kobiety stanowiły klasę podrzędną, zamkniętą w obowiązkach domowych i podległą władzy rodzinnej, tem nie mniej wymagałyby opieki głosowania, jako rękojmi przeciwko nadużyciom tej władzy... Nie zastanowiono się nad tem, do jakiego stopnia fakt, że kobieta, niezależnie od mężczyzny, posiada powien wpływ na świat zewnętrzny, powiększa jej godność i wartość w oczach zwykłego człowieka i przejmuje go szacunkiem, którego nigdyby nie uczuł dla osobistych przymiotów istoty, poddanej mu całkowicie w istnieniu społecznem.“ Mill sądził, że niedługo płeć, jak barwa skóry, nie będzie stanowiła o prawach obywatelskich. Ale nie poprzestał on na wywodach słownych. W roku następnym (1867) wniósł do parlamentu projekt przyznania kobietom (niezamężnym i wdowom) prawa głosowania i zyskał tylko 73 zwolenników na 196 nieprzyjaciół reformy. Ale ruch w tym kierunku wzrastać zaczął, pobudzany zwłaszcza przez M. Hughesa i prof. Fawcetta oraz zbierane pod ich przewodnictwem meetingi. Naturalnie opinia przeciętna i jej organa broniły zawzięcie „dawnego dobrego obyczaju.“ *Times* (1868) gasił ten ogień następującem rozumowaniem: *) „W życiu prywatnem kobiety są w domu (*at home*); w publicznem — wykolejone (*abroad*). Żywość ich uczuć, siła ich sympatyj i antypatyj, moc, z jaką przywiązują się do pewnych przedmiotów interesu i upodobania, ich przesądna zarozumiałość itd. — dają im niewątpliwą przewagę w sferze prywatnej. Taką jest ich natura.“ *Times* nie zapomniał nawet ostrzedz, że kobiety, obdarzone cechami umysłu męskiego, nie podobają się mężczyznom, a zatem pp. Fawcett i Hughes prowadzą tylko kampanię śmieszności.

Ale życie ze swą nieubłaganą logiką faktów nie pyta o zdanie największych mędrców, a tem mniej *Timesów*. Ono gromadzi dowody, na których muszą się rozbić bańki mydlane najdowcipniejszej deklamacyi. Pyta ono—jak słusznie wyraża się jedna gazet—czemu osoby bądź wykształcone, bądź finansowo niezależne i ekonomicznie czynne, mają być wyzute z praw politycznych dlatego jedynie, że są kobietami, kiedy konstytucya obdarza temi prawami najgłupszych wieśniaków irlandzkich dlatego, że są mężczyznami? Dobroczynny wpływ ustawy o szkołach elementarnych, obowiązującej od lat 15, oddziałał na obie płcie zarówno i sięgnął aż do najniższych warstw społecznych. Lepsze ukształcenie tych warstw pobudziło stan średni do staranniejszego wychowywania swych córek; we wszystkich miastach pozakładano t. z. szkoły wyższe i kolegia, w których dawna zewnętrzna politura umysłowa z francuszczyzną i fortepianem ustąpiła miejsca wykładom gruntownym. Jednocześnie uniwersytety: londyński, oksfordzki i cambridgski otworzyły wstęp kobietom i przypuściły je do egzaminów. Nawet w dziedzinie ustawodawstwa zaszły znaczne zmiany. Dawniej majątek żony był własnością męża; przed dwoma laty przyznano jej całkowite prawo rozporządzania tym majątkiem. Od tej chwili emancypacya niewieścia stanęła na bardzo trwałym gruncie i zyskanie praw politycznych jest już dla niej kwestyą drugorzędnej wagi.

*) A. Duverger *De la condition polit. et civ. des femmes*, Paryż 1872, str. 20.

ORGANISTA.

Teraz gdy wyszedł z plebanii, przekonanie to odżyło w całej mocy. Czyż nie było oczywistego dowodu, że jest zbyteczny, że organistów za dużo? Do rzeki mieli wiorstę, nie więcej. Zmrok zapadał szybko; ciemne chmury ciągnęły z zachodu; powietrze było ciężkie, duszne, jakby naraz wszelki ruch ustał w naturze. Dla skrócenia drogi szli przez górę piaszczystą, porosłą gdzieniegdzie krzakami paproci i rzadką trawą. Od piaszczystego gruntu było tu widniej trochę, dokoła zaś lasy i zarośla wyglądały jak czarne szlaki; u dołu rzeka płynęła bez szumu, ciemna, niby ołowiana. Chociaż nogi tonęły w piasku, a droga pod górę stawała się coraz więcej męczącą—szli dość prędko. Piotr nie czuł zmęczenia, nie czuł prawie że idzie; machinalnie zdjął czapkę, rozpiął surdut, spotniałe włosy przylgnęły do czoła, pot spływał po twarzy, sapał głośno, a pomimo gorąca dzwonił zębami, drżał, jak w febrze.

Z początku, gdy wyszedł z plebanii, był niespokojny, zły, ale w duszy miał jeszcze odrobinę nadziei; w miarę jak rozpamiętywał słowa księdza nadzieja gasła, żal wzrastał, a myśli tak się mieszały, że jednocześnie widział przed oczyma żonę, dzieci, chatę z fajkami, swego towarzysza, prom i ten las nieszczęsny, w którym przespał drogie godziny! Tyle wrażeń nie mogło się zmieścić w biednym mózgu; w uszach dzwoniło, a fala gorącej krwi przypływała do głowy; w oczach ciemniało, rozszerzał powieki, ale nie widział nic zgoła; wówczas zamykał oczy, szedł na pamięć, jak pijany.

— Żeby to wróg, nieprzyjaciel, jakiś zły człowiek zrobił... eh, to jeszcze! Ale nie... to ja sam... sam sobie — szeptał urywanym głosem.

Oddychał coraz spieszniej; skóra świerzbiała na całem ciele, zwłaszcza dłonie i podeszwy; opanowała go straszna drażliwość, ból jakiś piekący w sercu i w głowie; chciał krzyczeć z całych piersi: przycisnął pięść do ust i ugryzł się w wielki palec. Ciągle wracał myślą do tej chwili, kiedy zatrzymał się w lesie, albo kiedy płynął przez rzekę. To znowu wyobrażał sobie, że nie spał wcale, że szedł bez zmęczenia jak koń; przybył pierwszy, umówił się z księdzem. Marzenia te były chwilową drzemką rozjątrzonej boleści; uśmiechał się do nich, oddałby połowę życia, żeby się ziściły na jawie, żeby ten dzień nieszczęsny można było cofnąć jakkolwiek. Kiedy zszedłszy z góry zbliżyli się do głębokiego rowu, porosłego krzakami, na dnie którego szumiał strumyk, ogarnęła ich odurzająca woń ziół i świeżych brzozek. Piotr stanął, wpatrzył się w ciemną przepaść, przymknął oczy i słuchał, jak tam cóśszemrze, huczy, piersiami wciągał upajające powietrze, a głowa mimowoli chyliła się w stronę kamienistej przepaści.

— Tam musi być strasznie głęboko — przemówił chłopak.

— Piotr drgnął, otworzył oczy; o krok jeden przed nim chłopak z wyciągniętą szyją zaglądał do rowu; pod stopami jego piaszczysty brzeg poszarpany, poobrywany ulewą usuwał się... Piotr uczuł gwałtowną chęć trącić go kolanem —już nawet...

W tem chłopak wyprostował się, odskoczył kilka kroków.

— Niech on przepadnie! Ot huczy, a głęboko tam być musi—powtarzał z głupowatym uśmiechem.

— Głęboko... głęboko powtórzył Piotr, patrząc na niego szeroko rozwartemi oczami. Przyrósł do miejsca—niepokój, żal, bo-

O tę resztkę wszakże walczą liberałowie i konserwatyści angielscy. Jak rzekliśmy, wniosek Milla zjednał sobie tylko 73 głosy przeciw 196; w r. 1883 odnośna rezolucya liczyła już 114 przeciw 130, teraz (9 czerwca) znowu poprawkę Woodalla odrzucono większością 136 głosów (135 przeciw 271), ale ten niepomyślny zwrot uważać należy za manewr konserwatystów, którzy pragną, ażeby zich rąk kobiety otrzymały dar równouprawnienia. Rzecz dziwna, strona liberalna głosowała przeciw projektowi, zachowawcza zaś jest mu w gruncie rzeczy przychylną. bo spodziewa się, że przyrost 800,000 wyborców żeńskich zobojętni radykalizm męskich.

Bardzo postępowa w swych sądach na wywóz, dotyczących zagranicy, *Gazeta Warszawska* nadaje temu ruchowi poważne znaczenie a nawet twierdzi, że rozprawy w parlamencie angielskim „wskazują tak licznym u nas *zaspałym umysłom*, jakiej doniosłości pomysły i reformy zajmują nie już teoretyków, ale praktycznych prawodawców w czwartej części XIX stulecia.“ Zdawałoby się, że po tej apostrofie do „zaspałych umysłów“ *Gazeta* przynajmniej dla zachowania jednolitej konsekwencyi wybąka słówko uznania dla pokrewnego ruchu u nas. Tymczasem przemógł w niej nałóg robienia u siebie ścierek ze sztandarów, które czci u obcych i lekceważenia objawów myśli krajowej. Dla pisma, któremu najpłytszy artykuł w *Temps*, *Timesie* lub *Kölnische Zeitung* wydaje się nieraz głęboko mądrym, a cała prasa polska w sprawach politycznych niegodną ciżemek drukarskich — dla takiego wysoko wzniesionego dziennika nasza emancypacya niewieścia musiała zmaleć do małpich skoków. „U nas— powiada on — nie tak dawno gadano, a nawet drukowano stosunkowo niemało, nawet zanadto (!) o tak zwanej emancypacyi kobiet. Od lat kilku ustały te gadaniny, zgłuszone bądź śmiesznością (!), bądź nieudolnością (!) rozmaitych prelegentów i prelegentek, które w deklamacyach swych zbliżały się nieraz do francuskich (?) tej sprawy teoretyków. To uciszenie *niewczesnego* hałasu, wywołanego *przedewszystkiem* naśladownictwem (!) i czczością (!) myśli, oraz polemik, którym brakowało równie dobrej wiary (!) jak wiedzy (!), było bardzo naturalnem w kraju, któremu tyle na polu intellektualnem, materyalnem i naukowem brakuje, który zatem, jeżeli może, na inne pole winien zwrócić swą uwagę i pracę, gdy się na nią zdobyć potrafi. Przy wielce też zachowawczem usposobieniu naszem i poszanowaniu dla tradycyjnej moralności, *koniecznem* było ustanie owego najzupełniej jeszcze sztucznego zajęcia się tym przedmiotem.“

Trzeba istotnie mieć talent do wypowiedzenia tylu i tak pustych słów. Przedewszystkiem „niezaspały umysł“ powinien wiedzieć, że „od lat kilku“ ustały u nas nietylko „gadaniny o emancypacyi kobiet,“ ale także o wielu innych kwestyach i to nie dlatego bynajmniej, że je „zgłuszyła bądź śmieszność, bądź nieudolność prelegentów i prelegentek.“ Niewielki wysiłek pamięci powody tego „ustania“ zgadnie. Powtóre, naszym rzecznikom nie brakło wcale „wiedzy,“ a tem mniej „dobrej wiary,“ gdyż występowali oni z poważnym zasobem naukowym a nieraz wpadali w ideologię. Potrzecie, ruch ten czerpał może pobudki z zagranicy, lecz nie wypływał z prostego naśladownictwa, bo miał swoje źródło w zmienionych stosunkach, w postępach umysłowych społeczeństwa, a że odpowiedział potrzebom i nie przeszedł daremnie, dowodem ciągle wzrastające szeregi studentek polek, rozproszonych po całej Europie, oraz znaczne podniesienie się poziomu ukształcenia kobiet w kraju. Praw politycznych nie domagały się u nas ani one, ani nikt w ich imieniu. bo to byłoby donkiszoteryą, ale domagały się wiedzy. Nadto wobec mężów trwoniących posagi, wobec zastarzałych ograniczeń prawnych, skazujących żonę na dozgonną nieletność, zrodziła się w łonie naszego życia gwałtowna potrzeba wyjątkowego usamowolnienia mężatek i matek, które dziś są ubezwładnione przywilejami mężczyzn. Nakoniec rada co do „zwrócenia pracy i uwagi na *inne* pole“ przypomina nam, i nie w tym jedynie wypadku, podwórzowych handlarzów, którzy wzywani do kupienia starych butów pytają o palto, a przy paltcie o buty. Podobnej taktyki trzymają się nieraz nasi konserwatyści. Gdy widzą zbudowany zapał do nauk przyrodniczych, namawiają do statystyki lub na odwrót. Zasada troski o „inne pole“ jest wyginaną na wszystkie sposoby i zaostrzaną ze wszystkich stron a zawsze służy do wykłucia oczu temu, co się z pragnieniem życia i siłą rodzi.

W. M.

SŁUSZNE ZADOŚĆUCZYNIENIE.

Katolicy niemieccy a z nimi wszyscy inni mają znowu powód do wyrzucania czapek w górę i sławienia istotnego tryumfu. Bo nietylko wyłamali szczerbę w warowni „Kulturkampfu,“ ale wyłamali przy pomocy tych samych rąk, które ją wznosiły. Dziwna przemiana! Lat temu dziesięć, 24 kwietnia 1874 r., sejm niemiecki przyjął ustawę przeciw nieprawnemu spełnianiu obowiązków kościelnych. Gdy przytem spostrzeżono, że więzienia i kary pieniężne księży nie łamią a ludność rozdrażniają, powstało 4 maja słynne prawo wygnania i usuwania księży. Główna jego treść spoczywała w następujących punktach. Duchownym, którzy po złożeniu ich z urzędu kościelnego wyrokiem sądowym lub po wycierpieniu przez nich kary za spełnianie niedozwolonych obowiązków nie przestaną działać na stanowiskach odebranych lub zakazanych, może policya krajowa zabronić pobytu w pewnych miejscach lub inne wskazać. Jeżeli mimo to ksiądz będzie dalej przywłaszczał sobie urząd kościelny i sprawował go, oraz jeżeli oprze się przepisom, ograniczającym jego zamieszkanie, władza centralna może go pozbawić poddaństwa i usunąć z kraju. Trudno dziś pojąć — powiada jedna z gazet niemieckich— jakim sposobem parlament z lekkiem sercem mógł uchwalić prawo, stanowiące przeciw obywatelom karę wygnania, której ogólne ustawy nie znają, i pozostawić je w rękach policyi. Oporni księża ogłoszeni zostali za wyjętych z pod prawa, pozbawieni przywilejów obywatelstwa i swobody.

Ale... czasy się zmieniają! Przed dziesięciu laty drakonowska ta ustawa przyjęta została 214 głosami przeciw 108, teraz zniesiona (dotąd tylko przez sejm) 217 przeciw 40. Ciekawe zestawienie, a jeszcze ciekawszy fakt, że o usunięcie prawa wyjątkowego upomnieli się ci sami ultramontanie, którzy niedawno do utrzymania innego prawa wyjątkowego pomogli. Co dla nich złe, dla innych dobrem być musi.

Mimo tej dwujęzyczności moralnej i mimo całego przeciwieństwa, w jakiem stoimy względem klerykalizmu wogóle a więc i niemieckiego w szczególności, przyznawaliśmy zawsze, że wymierzone przeciw katolikom ustawy majowe były gwałtem i że chęć starcia tej plamy jest aktem uznania godnym. Nikogo to niepowinno sprowadzać z drogi rzetelnego liberalizmu, że ultramontanizm swym nieprzyjaciołom nie płaci równą monetą, że on po za swem kołem radby zgnieść wszystko najcięższymi zakazami. Niech on się sromotami okrywa, niech krzywdzi, niech ściśnia granice swobody — wszystko to nie usprawiedliwia

---

lość jakby w ziemię poszły—wszystko zamarło, zdrętwiało. On słuchał—słuchał, jak ciało chłopca stacza się po kamienistym brzegu, słyszał jak łamały się gałązki jałowcu i brzozek rosnących w jarze!

— Chodźmy! Strach patrzeć na tę przepaść — zawołał chłopak i poszedł naprzód zwolna.

Piotr patrzył za nim.

— Żeby nie on... byłoby już miejsce!

Żałował, że nie strącił go w przepaść, taką dobrą miał sposobność ku temu! Obejrzał się: zdawało mu się; że ktoś go podsłuchuje. Uczuł nawet gorący oddech nad uchem. Nigdzie ani żywej istoty; tylko ciemne chmury spuszczały się coraz niżej, a noc ciemniejsza jeszcze słała się dokoła. Przyspieszył kroku, chciał uciec z tego strasznego miejsca.

— A jednakże... żeby nie ten chłopak!.. szumiało mu w uszach bez przerwy.

Szedł teraz obok niego, spoglądał, jak zmęczony z trudnością nogi ciągnął po piasku. Piotr przeciwnie, chociaż od rana nic w ustach nie miał, czuł w sobie gorączkową siłę. Coraz częściej spoziorał na cienką postać towarzysza; nie byłoby go już, żeby myśl o strąceniu zawitała do głowy trochę pierwej! Jeszcze raz spóźnił się dzisiaj!

Nie sądzono widocznie.

Znacznie spokojniejszy szedł przyspieszonym krokiem. żeby tylko dzwoniły jeszcze. Dotąd podniecał go żal za nieujętem, niepowróconem, za tem, czego już naprawić nie mógł; ból pożerał go, ale stokroć więcej trapiła zupełna bezsilność. Teraz widział przed sobą główną, jedyną zaporę; usunąć ją, a wszystko się naprawi. Wzruszył ramionami. Jakże to zrobić? Była dobra sposobność... nie skorzystał—a teraz już zapóźno! Przewóz blisko — tam zwykle są ludzie..: a dalej, w miasteczku już nic mu złego uczynić nie zdoła.

Rozpamiętywał o tem spokojnie, jak o najzwyczajniejszej rzeczy w świecie. Uczucia, myśli, dusza cała tak się w nim układały od pewnego czasu, że widział tylko jeden cel, jedną drogę, na której wszelka przeszkoda była przeszkodą tylko, niczem więcej; wobec niej zapominał o własnem niebezpieczeństwie. Tem swobodniej myślał o tem, gdyż wiedział, że to tylko myśli i nic więcej — za kilka chwil będą na promie, wśród ludzi, daleko od wszelkich pokus — jeszcze tylko kilkanaście kroków.

Stanęli u przewozu; prom był przy drugim brzegu, pusty, ani jednego z przewoźników nie widać. Chłopak huknął z całych piersi, echo poniosło głos jego gdzieś po nad lasy, zamilkło i znowu cisza dokoła. Z drugiego brzegu nikt się nie odezwał, żadnego ruchu nie widać na promie. Po tej stronie, wyciągnięta do połowy na piasek, kołysała się łódka, wiosła leżały wewnątrz. Chłopak wskoczył pierwszy, obejrzał się na Piotra. Ten stał nad brzegiem, straszny jakiś, z wytrzeszczonemi oczami, kolana i ręce drżały.

— Jedziem, jedziem już — nawoływał chłopak—a chodźcież nakoniec!

Zbliżył się jak lunatyk; drżącemi rękami usiłował zepchnąć łódkę na wodę; zepchnął, wszedł z trudnością i usiadł na desce tak ciężko, jakby wraz z sobą zabrał wszystkie swoje myśli.

Rzeka płynęła szeroka, spokojna, pluskając czasami o jakiś kamień nadbrzeżny; z jednej strony strzegł ją bielejący wał piaszczystych pagórków, z drugiej rozesłało się uśpione miasteczko, a za niem głucha przestrzeń biegła gdzieś daleko zakończona szlakiem czarnego lasu. Mgła wieczorna snuła się po brzegach, skradając się na środek rzeki napełniała powietrze duszącą wilgocią. Łódka znikła śród białawych obłoków—pluskanie wioseł ucichło na chwilę.

odwetów takąż samą bronią. Wstecznicy od tego są, żeby ludzkość cofać, a postępowcy od tego, żeby ją naprzód posuwać. Pierwsi nietylko w Niemczech, ale wszędzie, gdzie wyrośli, podnoszą gwałtowny krzyk o najmniejsze ścieśnienie ich wolności, a zacierają ręce radośnie, widząc uszczuploną wolność innych. Gdy ksiądz nie może bez upoważnienia odprawić mszy lub udzielić sakramentów, czarny internacyonał — zresztą słusznie — rozdziera niebo skargami; ale gdyby jego przeciwników na pal wbijano, on nawet litości nie okaże. Czy wszakże to samolubstwo, ten egoizm zagrzęzły w własnych jedynie korzyściach może służyć za przykład do naśladowania żywiołom, które ultramontanizmu w niczem nie naśladują — ani w jego zasadach, ani w obłudzie, ani w nietolerancyi i ciemnocie? Bynajmniej.

To też cieszymy się radością p. Windhorsta i posłów poznańskich, którzy mu sekundowali. Niezależnie od owoców ich działalności mieli oni sprawę słuszną i powinni byli dawno ją wygrać.

Potrzebę tę czuł szczerze liberalizm rzetelny tem więcej, że przewrotny był głównym sprawcą grzechów prawodawczych przeciw katolikom w Niemczech.

KAPITAŁ I PRACA.

(Rodbertus-Jagetzow).

I.

Co jest kapitał, a co praca, jaka ich rola w świecie ekonomicznym, jaki one wzajem na siebie wywierają wpływ, oraz w jakim pierwszy do drugiej zostaje i zostawać winien stosunku — oto zagadnienia, które razem wzięte stanowią treść tak zwanej kwestyi socyalnej, oto hasła walki mniej lub więcej widocznie wstrząsającej łono wszystkich społeczeństw nowoczesnych.

Czem zakończy się ta walka, czy dodatnie lub ujemne dla ludzkości przyniesie wyniki — przesądzać trudno. Faktem dziś tylko jest to, że przewódcy ruchu w tym kierunku, od połowy bieżącego stulecia począwszy, punkt ciężkości usiłowań swoich przenieśli ze sfery utopij fantastycznych na pole nauki poważnej i na podstawie jej wywodów starają się usprawiedliwić nowe swe poglądy na podwaliny wszelkiego bytu ludzkiego, na prawo i państwo, historyę i filozofię. We Francyi zwrot ten nastąpił głównie za sprawą Proudhona, głośnego autora dzieł: *O własności* (1840) i *O sprzecznościach ekonomicznych* (1846), w Niemczech jest on zasługą Rodbertusa, który przez lat trzydzieści pracując na niwie umiejętności społecznych, dziwnym zbiegiem wypadków we własnej swej ojczyźnie poznanym i uznanym został dopiero — po śmierci. Na niepospolitą doniosłość prac jego pierwszy zwrócił uwagę profesor berliński Adolf Wagner, znany teoretyk socyalizmu państwowego.

W oddzielnem temu przedmiotowi poświęconem studyum (*Einiges von und über Rodbertus-Jagetzow* 1878). Wagner nazywa Rodbertusa „najwybitniejszym przedstawicielem czysto-ekonomicznej strony socyalizmu naukowego“ — i dodaje: „Posiada on siłę abstrakcyjnego myślenia, właściwą tylko mistrzom największym. W szeregu też mistrzów takich postawić go należy, a w dziedzinie ekonomii politycznej na czele wszystkich.“

Roscher, w swojej *Historyi ekonomii politycznej w Niemczech*, badania Rodbertusa mieni „gruntownemi i genialnemi,“ utrzymując, że „prawie zawsze sięgają do głębi tam, gdzie chodzi o najogólniejsze zagadnienia gospodarstwa i życia narodowego.“ W roku 1878 prof. Wagner także wspólnie z H. Schumacherem rozpoczął wydawnictwo spuścizny literackiej po Rodbertusie tomem listów pisanych do tego ostatniego przez Ferd. Lasalle'a. Po przeszło pięcioletniej przerwie, spowodowanej, jak objaśnia przedmowa, koniecznością uporządkowania i przejrzenia pozostałych rękopismów, świeżo wyszedł tom drugi tego wydawnictwa, zawierający wykład o kapitale*). Obszerna ta, dwadzieścia arkuszy druku obejmująca rozprawa, zawiera kwintesencyę teoryi socyalno-ekonomicznej Rodbertusa i jako taka, oraz jako praca powstała przed znanemi wystąpieniami Lasalle'a i Marxa — niewątpliwie zasługuje na bliższą uwagę czytelników *Prawdy*.

A najprzód kilka słów o samym autorze. Urodzony w roku 1805 (12 sierpnia), syn profesora uniwersytetu w Greifswalde — skończył gimnazyum w Meklemburgu i słuchał nauk prawnych w Berlinie i Getyndze. Po skończeniu kursów urzędował przez lat kilka i pomiędzy r. 1830—1834 odbywszy podróż po Europie, osiadł stale (1836) w majątku własnym Jagetzow na Pomorzu. Odtąd cały czas i wykształcenie poświęcał pracom naukowym, a wydalał się z zakątka swego wtedy jedynie, kiedy zaszczycony zaufaniem współobywateli zmuszonym był potrzeby ich i życzenia przedstawiać sejmom i zgromadzeniom prawodawczym — 1841, 1847 i 1848. W tym ostatnim roku nadto przez dni czternaście pełnił obowiązki ministra wyznań i oświecenia, podał się zaś do dymisyi, nie mogąc pogodzić się ze wstecznemi dążeniami ówczesnego gabinetu Auerswald-Hanseman. Umarł w r. 1875 (6 grudnia).

Z pomiędzy kilkunastu książek za życia przez niego ogłoszonych, najwięcej obudziły zajęcia trzy: dwutomowa pod tytułem *Przyczynek do wyjaśnienia i zaradzenia dzisiejszej trudności kredytu ziemskiego* (1868—1869, drugie wydanie w r. 1876), *List otwarty do komitetu stowarzyszenia robotników niemieckich w Lipsku* (1863) i *Badania z dziedziny ekonomii politycznej za czasów klasycznej starożytności* (1864—1867). Pod względem przekonań politycznych należał do lewego środka, był radykalistą, ale stanowczym przeciwnikiem przewrotów gwałtownych, wszędzie żądając przejścia legalnego. Całą duszą oddany stronnictwu socyalno-demokratycznemu, pragnął, aby ono zadania swe ekonomiczne stawiało wyżej po nad wszelkie programy polityczne. Potępiał każdą reformę socyalną, o ileby ona podjętą być miała z pobudek politycznych. „Kwestya społeczna — mówił — jakby przeczuwając najświeższy zwrot w polityce ks. Bismarka „zarówno ma swoich czarnych, jak Niemcy swoich jezuitów.“ Dlatego też strasznie się boję, aby i polityka nie wpadła na myśl wyzyskania tej kwestyi. Mówię naturalnie o polityce, która kieruje się względami politycznymi, która robotnikom chce rzucić jakiś kęs, żeby w nich zachować sobie lub zjednać sprzymierzeńców.“

Filozofia ekonomiczna Rodbertusa w najogólniejszym zarysie przedstawia się tak: Odrzuca on opinię, pojmującą człowieka jako istotę dualistyczną, złożoną z ciała i duszy. Osobnik ludzki jest dlań raczej węzłem trójjedynym splecionym z ducha, woli i siły materyalnej, albo ze zdolności poznawania, postanawiania i poruszania się (Erkentniss- Bestimmungs- und Bewegungsvermögen). Połączenie się osobników za pomocą tych trzech pierwiastków prowadzi do organizmu socyalnego, t. j. do języka i nauki, obyczaju i prawa, podziału pracy i gospodarstwa narodowego (ekonomii politycznej we właściwem znaczeniu). Jednostka wraz z podobnemi sobie istnieje,

*) Dr. Carl Rodbertus-Jagetzow. *Das Kapital*. Vierter socialer Brief an von Kirchman. Berlin. 1884.

Chmury i mgła znikły wraz nocą; poranek nastąpił świeży, słoneczny, jeden z tych, w którym ptaki śpiewają głośniej, kwiaty są piękniejsze, a ludzie rzeźwi, weseli, jakby dziś na świat przyszli. Wśród lip na cmentarzu hałasowały wróble, roje pszczół brzęczały wśród kwiatów, a czem więcej dogrzewało słońce, tem ruchliwsze życie wrzało wkoło drzew i na murawie. Domek księdza kąpał się w słonecznych promieniach. Przez otwarte okno widać było rozesłane na podłodze arkusze gazet, a na nich schły rumianki, mięta, cząber, pudełko z tytoniem; muchy brzęczały, odważniejsze wróble i jaskółki wlatywały przez jedno okienko, po to tylko, żeby wylecieć przez drugie. Cisza panowała w całym domu. W ganku na ławce siedział proboszcz w surducie z szarego płótna, bez czapki, czerwony, spotniały, ale z wyrazem szczerego zadowolenia w twarzy. Chustkę i tabakierkę położył obok siebie na ławce, sam zaś, jedną ręką przytrzymywał cebrzyk, drugą worek, z którego jakiś szaraczkowy jegomość wyjmował po parze żywych raków, wybierając największe. Ksiądz śledził każdy ruch jego ręki; z wyciągniętą szyją patrzył w worek, a na widok każdego dzielniejszego raka mimowoli przełykał ślinę. Dla akuratności liczył:

— Dwadzieścia... dwa... cztery... sześć... trzydzie...

— Ośm!—przerwał jegomość.

— Jakto?

— Wielmożny dziekan omylił się — tam było z przeproszeniem dwadzieścia i ośm, a teraz będzie trzydzieści.

Położył okazałą parę do cebrzyka.

Ksiądz zmierzył bystrem okiem, przeliczyć jednak nie mógł, gdyż raki, ogrzane słońcem, ruszały się, pełzały, usiłując wydostać się na wierzch.

— Niech i tak będzie! Licz dalej.

Jegomość sapał z całych piersi, a łysina i czoło pokryte były własną swoją rosą.

— Odpocznij chwilkę, nie pilnego, nie uciekną. Ależ ufetowałeś mię bracie, bodaj ci Bóg zapłacił! Dawno już nie miałem takiego balu. Sztuka w sztukę jak jeden.

Mówiąc, szukał tabakierki w koło cebrzyka, spojrzał za siebie, a znalazłszy, wziął szczyptę i poczęstował sąsiada. Ten zasunął palce ostrożnie, a patrząc księdzu w oczy, wyjął odrobinę, na którą uśmiechnął się drwiąco jego nos ogromny, granatowy, przyzwyczajony widocznie do więcej radykalnych porcyj. Zażyli. Ksiądz kichnął, a jegomość skrzywił się tylko.

— Cóż to? nie mocna? Sam przyrządziłem, i zdaje mi się, że ma dość siły. Czasami o mało nosa w powietrze nie wysadzi!

— Mocna, najmocniejsza! zakręciła we łbie, w nosie, w gardle nawet!

— To czemuż nie kichnąłeś?

— Nie śmiałem, dziekanie dobrodzieju! Nie śmiałem! Takie rzeczy dobre sam na sam, albo w mniej szanownem towarzystwie.

— Eh, to już zbyteczna ceremonia! Jabym i w niebie kichnął, żeby mię naprawdę w nosie zakręciło!

Skromny jegomość uśmiechnął się z przymileniem. Przysiadł i zaczął znowu wybierać raki z worka. Miał na sobie surdut szaraczkowy, zapięty na białe kościane guziki; szyja okręcona czerwoną chustką z pod której wyglądał czysty kołnierz od koszuli; buty wyczyszczone starannie; na czole szrama od ciasnej czapki, słowem, wyglądał jak gość.

— Dziś gorąco, strasznie gorąco! — powtarzał w przerwie dobierania stosownej pary raków. Trudno oddychać, taki upał! Słońce piecze!

Pochyleni nad workiem rachowali dalej, gdy nagle między nimi a słońcem zarysował się cień. Obaj podnieśli głowy.

żyje i działa w trojakiej wspólności: w duchowej, etycznej i materyalnej, czyli gospodarczej. W ten sposób iskrą, która w ogólności rozpala dopiero wszelkie życie społeczne, która daje siłę ożywiającą organizmy zbiorowe, poruszającą je i podtrzymującą, słowem, pozwalającą im objawiać się i ucieleśniać, jako całości życiowej—siłą tą jest wspólność osobników, która powinna wszechstronnie — duchowo, etycznie i gospodarczo — obejmować ich życie, która więc występuje jako komunizm w przeciwstawieniu do indywidualizmu. Historya organizmu społecznego dotychczas nie jest zamkniętą. Ostatnią jej i najważniejszą część zasłania jeszcze mrok przyszłości. Niemniej przeto dziś już skonstatować można, że zasadą rozwoju w historyi społeczeństw jest coraz większej jego udoskonalanie. Począwszy od rodziny aż do społeczeństwa uorganizowanego przyszłości życie zbiorowe wciąż się doskonali, z niższych na wyższe wstępujo szczeble. Wprawdzie dzieje się to zawsze pod wpływem nowych pierwiastków, ale jedna forma powstaje z drugiej w nieprzerwanej nigdy ciągłości. Organizm niższy zazwyczaj ginie w wyższym; pierwszy musi zniknąć wprzódy, zanim ostatni wogóle może narodzić się. Jeśli wspólność we wszystkich sferach życiowych, zwłaszcza zaś w gospodarczej, jest główną podstawą ciała społecznego — to konsekwentnie postępując i w ekonomii socyalnej zamiast osobników należy brać za punkt wyjścia ogół cały.

Oto jest klucz do zrozumienia metody Rodbertusa, oto stanowisko, z jakiego on krytykuje obecny porządek społeczny.

Dla dokładnego pojęcia natury kapitału, zdaniem Rodbertusa, należy wprzód głębiej wniknąć w zasadę wszelkiego gospodarstwa społecznego, w zasadę podziału pracy. Od przedstawienia też owej zasady rozpoczyna swój wykład. „Ekonomiści — powiada — z wielkim swoim mistrzem (A. Smithem) na czele, w podziale pracy nietylko, że zawsze wysuwali na pierwszy plan stronę indywidualistyczną tego stosunku, nietylko, że zawsze pojmowali go lokalnie i technologicznie, ale nadto głównie zwracali uwagę na jego skutek produkcyjny. Pod pierwszym względem podział pracy określali, jako stosunek, w którym każdy osobnik ciągle zajęty jest tylko jedną produkcyą, lub jednym aktem produkcyi danej. Pod drugim względem mieli na oku podział pracy istniejący w fabrykach. Pod trzecim—jako na istotne następstwo podziału pracy wskazywali jedynie na nadzwyczajne pomnożenie produkcyi. Pojęcie to najlepiej uwydatnia się w przytoczonym przez owych ekonomistów przykładzie produkcyi szpilek. W tem znaczeniu podział pracy jest dokonanym, gdy pojedynczy robotnicy wspólnemi siłami przygotowali znaczną liczbę szpilek.

„Taki—mówi dalej Rodbertus—nieistotny, ograniczony i nieekonomiczny pogląd zrodził się raz dlatego, że pierwsze naukowe traktowanie ekonomii politycznej przypadło na indywidualistyczny okres zeszłego stulecia, który na wszystkich prawie ówczesnych pojęciach socyalnych właściwe swe wycisnął piętno, powtóre dlatego, że pojęcie jedności społecznej na polu gospodarczem urzeczywistniło się dopiero przez ogólne wyobrażenie o bogactwie narodowem, bez dostatecznego uwzględnienia rozdziału tego bogactwa. I ekonomia, jak wszystko w życiu, w odwrotnym kierunku przyszła na świat. Była indywidualistyczną, gdzie komunistyczną być była powinna i na odwrót. Istota podziału pracy atoli leży nie w jego indywidualizmie, ale właśnie w komunizmie. Podział ten powinien był raczej nazywać się wspólnością. Ta wspólność zaś zniszcza się nie w lokalnych i technologicznych granicach jednej fabryki, lecz na obszarze całej kuli ziemskiej, wszędzie, gdziekolwiek ludzie pozostają ze sobą w stosunkach ekonomicznych, czyli, co najedno wychodzi, żyją według zasady podziału pracy. Podział pracy powszechno-światowy (Weltarbeitstheilung)—oto najwłaściwsza nazwa dla tej zasady.

Drugą istotną połowę tej zasady w gospodarstwie społecznem stanowi nie pomnożenie produkcyi, podniesienie bogactwa narodowego, ale rozdział owoców wspólnej pracy. Podział jej tak samo ściśle mógłby się nazywać podziałem zapracowanego, dopiero to pojęcie bowiem jest koniecznem uzupełnieniem pierwszego.

W tem znaczeniu tedy podział pracy wyższe nierównie zajmuje stanowisko, aniżeli jest to, jaki mu zaznacza przykład w produkcyi szpilek. Jest on raczej węzłem materyalnym, który z agregatu osobników tworzy społeczeństwo, tak samo, jak pod względem etycznym czynią to moralność i prawo, pod względem duchowym — język i sumienie narodowe. Jest on jednym z zasadniczych stosunków samego życia socyalnego, mianowicie podstawowym stosunkiem gospodarczym, w którym jeden pracuje za wszystkich i wszyscy za jednego.

Owo prawidło solidarności najwyższej jest ostatecznym wyrazem podziału pracy.

(D. c. n.). *A. J. Cohn.*

O SAMOBÓJSTWIE ZWIERZĄT.

II.

Wszystkie wypadki samobójstwa dadzą się sprowadzić do trzech rodzajów: do manii samobójczej, samobójstwa, pochodzącego z osłabienia woli i do samobójstwa, które bym nazwał stoickiem.

W manii samobójczej zamiar powstaje samorzutnie, pod wpływem choroby mózgowej, i zapanowywa tak dalece nad umysłem człowieka, że ten ślepo mu ulega i wykonywa jego nakaz w sposób czysto automatyczny, nie zdając sobie sprawy, dlaczego to robi. Z tem wszystkiem, jakkolwiek rozumowe jego władze zdają się nie brać żadnego udziału ani w powstaniu zamiaru, ani w jego wykonaniu — nie zostają one na nie bez wpływu. Najprzód sam zamiar samobójczy może powstać tylko w umyśle, który ma już wyobrażenie o tem, co to jest samobójstwo; powtóre, wykonanie jego wymaga obmyślenia stosownych środków i upatrzenia odpowiedniej chwili. Jakoż pod tym względem ludzie, dotknięci ową manią, okazują nieraz godną podziwienia przebiegłość i przenikliwość. Wprawdzie w manii, połączonej z szałem, wykonanie samobójstwa następuje w tej samej chwili, co i zamiar, i jest czynnością niemal odruchową. Nie trudno wszakże wykazać, że i tu ważną rolę odgrywa pierwiastek rozumowy, jakim jest wyobrażenie o czynności i o sposobach wykonania jej. Pierwiastek ten działa bezwiednie, ale w sposób decydujący o kierunku, w jakim mania ma się objawić. Właściwie mówiąc, on sam stanowi jej istotę, gdyż choroba mózgowa, będąca materyalnym jej podkładem, musiałaby inaczej oddziałać na umysł w braku gotowego w nim wyobrażenia.

Samobójstwo drugiego rodzaju pochodzi głównie z osłabienia woli. Ciągła i bezskuteczna walka z przeciwnościami, z namiętnością lub cierpieniami moralnemi i fizycznemi wyczerpuje siłę żywotną, która jest naturalną podstawą woli. Wyradza się stąd zniechęcenie do życia i obawa starć bez końca, do których wola czuje się niezdolną. Drogą kojarzenia się wyobrażeń powstaje wtedy myśl o samobójstwie, którą człowiek na razie odpycha z przerażeniem, ale która, w miarę nastręczania się, coraz więcej traci dla niego swój pozór wstrętny i staje się w końcu zwykłym przedmiotem jego rozważań — przedmiotem stałym, niepozbawionym pewnego wdzięku, jaki mu nadaje nadzieja ciszy

---

Na progu koło słupa stał Piotr z czapką w ręku. Pomimo gorąca, bledszy był jeszcze niż wczoraj, powieki miał zaczerwienione, usta suche, a włosy w największym nieładzie: posklejane kosmyki sterczały na skroniach, jeżyły się nad czołem nadając twarzy wystraszony wyraz. Nie schylił głowy, nie przemówił ani słowa. Stał nieruchomy, sztywny, jak widmo.

Ksiądz nie poznał go zrazu, spoglądał trochę zdziwiony.

— Ah, toż wczorajszy organista! — zawołał w końcu bez śladu zakłopotania. Witam, witam, siadajże mój dobrodzieju! A gdzież towarzysz? No, chwała Bogu, nie potrzebuję już żadnego! Oto mój poczciwy Antoni wrócił znowu do mnie. Piętnaście lat służyliśmy Bogu przy jednym kościele, a teraz może już do śmierci służyć będziemy razem!

Antoni ujął rękę księdza i serdecznie do ust przycisnął.

— Gra on fałszywie — mówił dalej z żartobliwym uśmiechem — śpiewa jeszcze gorzej, w ważniejsze uroczystości potrzebuje zalać robaka, słowem chwali Boga jak umie. Ale, stary sługa choć defektowy trochę, zawsze lepszy od nowych! Jak myślisz, panie Antoni?

— Ja zawsze jestem tej samej myśli co i ksiądz dziekan dobrodziej — odrzekł rozpromieniony, i jeszcze raz ucałował rękę gorąco.

— Oh, co za figura! Olbrzym! Bodaj go kaczki zdeptały! — wołał ksiądz, podziwiając ogromnego raka.

Ujął za szyjkę ostrożnie.

Piotr zaciemniał, nie dozwalał przypatrzeć się akuratnie. Ksiądz spojrzał na niego.

— Siadajże proszę; wszak musisz być zmęczony. Ot zaraz skończymy liczyć, zjemy razem śniadanko, a tymczasem usiądź proszę, bo zaciemniasz nam trochę.

Piotr ogłuchł, czy zdrętwiał; oparty o słup, nie ruszył się z miejsca; brwi podciągnął, oczy otworzył szeroko; czapka wysunęła się z ręki.

Ksiądz i Antoni zdziwieni milczeniem zwrócili głowy jednocześnie.

Stał obrócony plecami do słońca, więc nie mogli dostrzedz wyrazu jego twarzy. Antoni podniósł czapkę i tkał mu ją w rękę. Skostniało palce nie czuły dotykania; położył czapkę na ławce.

— Czemuż nie siadasz? — powtarzał ksiądz; po śniadaniu pojedziecie razem z Antonim, on ma interes do miasteczka; we dwóch łatwiej przeprawiać się przez rzekę.

Słowa te, jak prąd elektryczny ożywiły zdrętwiałego: odskoczył kilka kroków, stanął na przeciw ganku oblany słońcem od stóp do głowy. Ksiądz i Antoni powstali; z otwartemi ustami, patrzyli z przerażeniem w jego twarz strasznie zmienioną. On głowę wsunął w ramiona, bił się w piersi zaciśniętą pięścią, drżał cały i wykrzywiał usta boleśnie! Usiłował przemówić, ale głos rwał się w piersiach.

Nie... trzeba... nie... — szepnął potrząsając głową, nie trzeba! Po... co... będzie... czwarty... dziesiąty... dwudziesty! Teraz wszyscy... organiści!.. tak wszyscy!... tamtego... niema... jest ten!... jest... jest! Słyszę już... Oh nie powtarzajcie! Jest ten... a tamtego... niema!

Zaśmiał się przeraźliwie!

Echo poniosło śmiech bolesny po słonecznej, cichej przestrzeni!

Ostoja.

i ukojenia. Milkną powoli wszystkie uczucia, wiążące nas z życiem — miłość, przywiązanie, sława, wyższe cele, a na ich miejsce występuje pragnienie nieprzeparte śmierci, przecinającej odrazu całe pasmo cierpień, których końca nie przewidujemy. Rozum, pod zaklęciem upartej myśli i niepokonanego pragnienia, jakkolwiek nic nie traci na swej mocy, całą działalność skierowywa ku temu jedynie, ażeby uzasadnić konieczność swego zamiaru i zapewnić mu w przewidywanych okolicznościach zupełne powodzenie. W takim stanie umysłu najmniejszy powód popchnie człowieka do fatalnego kroku: jakieś słowo, jakiś wypadek, który go żywiej poruszy, zmiana powietrza lub chwilowa niedyspozycya żołądka mogą się stać ową iskrą, która wyzwala napiętą siłę w kierunku, jaki jej wskazuje *idée fixe*.

Samobójstwo stoickie tem się odznacza, że jest następstwem rozważnego, spokojnego postanowienia, dzieckiem energicznej woli. Zdarza się często, że czy to własną winą, czy wskutek dziwnego zbiegu okoliczności, znajdzie się człowiek nagle w sytuacyi, przeciwnej jego zasadom, obrażającej jego uczucia, z której niema dlań innego wyjścia, nad śmierć dobrowolną. Jeżeli przekonania takiego człowieka są głęboko wpojone, jeżeli uczucie godności, miłość własna, obawa wstydu i hańby silniejszemi są w nim, niż bojaźń śmierci i przywiązanie do życia, a przytem posiada on dostateczną moc panowania nad sobą, z rezygnacyą poddaje się uznanej przez się konieczności i przecina pasmo swych dni, pomimo miłości dla bliskich swemu sercu osób i głębokiego żalu za światem.

Ten rodzaj samobójstwa należy do bardzo rzadkich wypadków. Wymaga on wielkiego wyrobienia moralnego, właściwego wyjątkowym tylko charakterom, łączącym w sobie hart woli i wysoko rozwinięte uczucie. O tem więc, ażeby mogło ono się zdarzyć między zwierzętami, przeważnie kierującemi się instynktem — mowy nawet być nie może. Całe ich życie obraca się w zakresie potrzeb, jakie w nich wytwarza popęd samozachowawczy i w warunkach ich bytu niema ani jednego czynnika, któryby zdolnym był go przeciwważyć.

Pozostają przeto dwa tylko rodzaje samobójstwa, których warunki są tej natury, że można z pewnem prawdopodobieństwem przypuścić je w zwierzętach.

Pierwszym z nich, jak wiemy, jest samobójstwo sprowadzane manią. Mania samobójcza, jak każda w ogóle, jest rodzajem epilepsyi, która powstaje w idealno-ruchowych ośrodkach mózgu. Wywołane przez nią wstrząśnienie pobudza pewną myśl i nadaje jej taką przewagę nad innemi, że pochłania wszelką czynność umysłową, staje się popędem nieprzezwyciężonym, wobec którego milkną wszystkie uczucia, a wola jest ślepem jego narzędziem. Człowiek w tym stanie działa automatycznie, nie zdając sobie sprawy, dlaczego się zabija, a jego myślenie o tyle jest czynnem, ile tego wymaga użycie odpowiednich środków i zmylenie czujności, jaką nad nim rozciągnięto.

Że zwierzęta, podobnie jak i ludzie, podlegają pewnym chorobom umysłowym, których przyczyna leży w nieznanych dotąd bliżej zmianach chorobowych mózgu, jest rzeczą powszechnie znaną. Można więc przypuścić, że i te jego zmiany, które u ludzi stają się powodem manii samobójczej, nie są im całkiem obce. Z tego atoli nie należy jeszcze wnosić, by zwierzę zdolnem było pod wpływem tego chorobowego stanu dopuścić się samobójstwa. Zanimbyśmy mogli taki wniosek wyprowadzić z powyższego przypuszczenia, musielibyśmy wprzód sprawdzić, czy zwierzę zdolnem jest do takiej czynności umysłowej, jakiej wymaga nie już odebranie sobie życia, ale powzięcie zamiaru. Mania samobójcza jest faktem złożonym, w którym główną rolę odgrywa czynnik rozumowy. Ażeby ona mogła objawić się w zwierzęciu, trzeba, żeby w jego umyśle znajdowała się myśl o samobójstwie, mniej lub więcej dokładne o niem pojęcie, uprzednio nabyte. Mania owa takiego pojęcia nie stwarza, lecz tylko, znalazłszy je w umyśle człowieka, potęguje je, nadaje jej znaczenie popędu gwałtownego. Człowiek, który nigdy nie słyszał o samobójstwie i nie wie, w jaki sposób można pozbawić się życia, z pewnością nie dozna manii samobójczej, chociażby w jego mózgu znalazły się wszystkie potrzebne dla niej warunki. Niezawodnie, że wtedy objawi się w nim inna jakaś mania, ale taka tylko, która odpowiada zakresowi jego wiedzy i doświadczenia. Możnaż przypuścić choć na chwilę, że zwierzę, nawet najdalej posunięte w rozwoju, posiada już nie dokładne, ale choćby tylko jakieś, najmniej określone, pojęcie o samobójstwie? Jaką drogą przyjśćby do niego mogło? Czy drogą przykładu, czy tradycyi ustnej? Obie one możliwe są tylko w społeczeństwie i to ludzkiem, posiadającem mowę członkowaną.

Te same wątpliwości i pytania nastręcza nam drugi rodzaj samobójstwa, pochodzącego z osłabienia woli. Cechą jego jest zupełne stłumienie popędu samozachowawczego. Otóż, gdybyśmy uwzględniali tę jedną tylko stronę, gdyby ona rzeczywiście była jedyną przyczyną samobójstwa, mielibyśmy zupełne prawo utrzymywać, że zwierzęta w danych okolicznościach mogą targnąć się na własne życie. Istnieją bowiem liczne przykłady, które dowodzą, że u zwierząt, podobnie jak i u ludzi, w tych samych prawie warunkach zachodzi osłabienie i zupełne przygłuszenie popędu samozachowawczego. Fakt ten zresztą z teoretycznego punktu widzenia jest bardzo naturalnym.

Popęd samozachowawczy jest podstawą życia, tem, czem opór w ciałach fizycznych. Polega on na zasadniczem prawie życia, że to, co mu sprzyja, co je podnosi, sprawia w ustroju zwierzęcym uczucie przyjemności, a przeciwnie wywołuje w nim przykrość i ból wszystko to, co jest przeciwnem bytowi, co go obniża i zabija. Będąc pierwszem doświadczeniem, spotęgowanem dziedzicznością, objawia się on w organizmach zwierzęcych automatycznie pod wpływem przyjemności lub przykrości bądź rzeczywistej, bądź przewidywanej. Całą swą energię zawdzięcza sile, wytworzonej przez ośrodki nerwowe — i traci ją w miarę, jak ta siła wyczerpuje się i zużywa. Jest on więc niższym stopniem woli, bezwiednem przystosowywaniem, dokonywającym się świadomie. Popęd przeto samozachowawczy, podobnie jak i wola, zużywa się w ciągłej walce z życiem. Cierpienia fizyczne i moralne podkopują jego byt i zagłuszają. Przykrość bowiem i ból, zużywając siłę nerwową, obniżają żywotność ustroju zwierzęcego, sprowadzają zakłócenia w sprawie odżywiania. Naturalnie, że popęd samozachowawczy, należąc do wcześniejszej formacyi, niż wola, dłużej się opiera zniszczeniu i może trwać w całej mocy wtedy, gdy ona, czy to skutkiem wadliwości ustroju, czy cierpień moralnych i fizycznych, okazuje się słabą, albo żadnej już zgoła władzy nie posiada. To też zniechęcenie do życia i pragnienie śmierci nie jest następstwem upadku woli, pojętej jako siła działająca świadomie; następuje ono dopiero wtedy, gdy sam popęd zachowawczy zamilknie.

Zwierzęta, których życie obraca się w zakresie potrzeb naturalnych, rzadkich dostarczają przykładów upadku popędu samozachowawczego i można z pewnością twierdzić, że w prawidłowych warunkach ich bytu taki upadek może być tylko spowodowany chorobą lub głodem zbyt przedłużonym. Inaczej się rzecz ma w ich stanie domowym lub w niewoli, gdzie człowiek wytwarza dla nich nowe warunki, poddaje je pod wpływy, którym na swobodzie nie ulegają. W zwierzętach przyswojonych wytwarzają się nowe uczucia, czysto towarzyskie, których zaspokojenie staje się dla nich potrzebą tak gwałtowną, że może ona zapanować i przygłuszyć sam popęd samozachowawczy. Wiadomo, że pies, po stracie ukochanego pana zdycha nieraz na jego grobie ze smutku i żalu. W tych samych okolicznościach konie całymi dniami stoją obojętnie przy żłobie, pełnym obroku, do którego wstręt czują, i po dłuższym czasie, trawione żalem, zdychają. Kot, najobojętniejszy ze wszystkich zwierząt domowych, bardziej przywiązujący się do mieszkania, niż do ludzi, opuszczony przez swych gospodarzy, traci ochotę do jedzenia i pozwala uwijać się bezkarnie obok siebie wróblom i myszom.

Wprawdzie uczucie towarzyskie, czyli altruistyczne, nie jest obce zwierzętom i w stanie natury, czego dowodem ich stosunki rodzinne i życie gromadne niektórych gatunków. Uczucia te atoli objawiają się u nich nie tyle przywiązaniem do osobników, ile sympatyą i przywiązaniem do gatunku, do którego należą. Działa w nich wyłącznie instynkt macierzyński i towarzyski. Matka narazi swe życie w obronie dziecięcia, dokąd ono jest małem i potrzebuje opieki; ale gdy dorośnie, jest dla niej o tyleż obojętnem, ile każdy inny osobnik jej gatunku. Zwierzęta, żyjące parami, gdy jedno z nich zdechnie, pocieszają się wnet, dobierając sobie nowych towarzyszy. Dzieje się jednak inaczej, gdy są w niewoli i nie mogą ich wyszukiwać. I tak naprzykład: papugi — samiec i samica — zamknięte razem w klatce, gdy jedno z nich zdechnie, zdycha zwykle i drugie w prędkim czasie; ale gdy mu się dostarczy nowe towarzystwo, odzyskuje humor i zdrowie. Że w tym wypadku czynnym jest instynkt towarzyski, nie zaś popęd płciowy, dowodzi tego fakt, że papugi w niewoli tracą popęd płciowy.

(D. n.).

Władysław Kozłowski.

Z WYSTAWY.

Minęły już bezpowrotnie czasy zachwytów nad znaczeniem wszelkiego rodzaju wystaw i ich wpływu na podniesienie gospodarstwa. Więc i obecna wystawa inwentarza nie rości sobie pretensyi do przedstawienia ogólnego stanu hodowli w kraju, lecz jest raczej handlową reklamą szczupłej liczby zamożnych i umiejętnych hodowców, którym daje sposobność popisu i możność korzystnego zbytu okazów. Stała się ona rodzajem jarmarku, i właśnie ten jej specyalny charakter, to zamknięcie się w szczupłych a dokładnie określonych granicach nadaje jej nie urojoną, ale rzeczywistą, chociaż skromną wartość. Zamożniejsi i fachowo wykształceni hodowcy ułatwiają szerszemu kołu ziemian nietylko możność poznania różnych ras i odmian inwentarza, przekonania się o praktyczności ich hodowli w naszych gospodarskich warunkach i o względnych korzyściach, jakie stąd płynąć mogą, ale i nabycie okazów, które w znacznej części służyć mogą do rozpłodu. Nie podzielamy więc poglądów kilku pism, które czynią zarzut, że na wystawie figurują tylko zamożni ziemianie, a inni nie przyjmują w niej udziału. Było by to słusznem, gdyby chodziło o przedstawienie stanu tej gałęzi gospodarstwa w kraju, ale takiego celu nie mogą mieć corocznie powtarzane popisy, zresztą dziś jeszcze u nas racyonalna hodowla jest wyjątkiem rzadkim. Tylko bogaci ludzie mogą czynić próby, które nieraz przynoszą nawet stratę, oni też jedynie mogą i mają co wystawić.

Nie należy przesadnie podnosić na piedestał obywatelskiego poświęcenia tego, co jest wynikiem dobrze zrozumianego własnego interesu, albo chociażby amatorskiego zamiłowania, ale nie należy również robić z tego komuś zarzutu. Bo nawet jeżeli hodowla staje się tylko kosztowną zabawą, przyniesie ona innym pewną korzyść i bodaj wszyscy nasi bogaci panowie, w ten sposób się bawili.

Na Placu Ujazdowskim znajdują się więc tylko, że tak powiem, próbne okazy nielicznych zarodowych stajni, obór i owczarni, umieszczone w tym celu, w jakim rozkładają się w oknach wystaw sklepowych próbki towarów. Dlatego to np. ze znanych stadnin w Snopkowie, Krasnem itp. nie nadesłano wcale koni, bo stadniny te nie potrzebują już dziś szukać rozgłosu, a w ustalonej hodowli nie zaszły nowe zmiany. Dlatego również wielu wystawców protestuje z powodów konkurencyjnych przeciw dopuszczeniu zagranicznych owiec, przeznaczonych na sprzedaż, gdyż to obniża ceny krajowych tryków. Dodać należy, że lepsze owczarnie zagraniczne nie nadesłały wcale okazów, to zaś, co się znajduje na wystawie, jest niesprzedanym gdzieindziej brakiem bardzo niewielkiej wartości.

Nie podzielamy również jednogłośnych wynurzeń żalu, z powodu braku włościan. Doprawdy nierozumiem, coby oni tam robili, bo nawet nie mogliby nabywać reproduktorów, dostępnych jedynie tylko dla szlacheckiej kieszeni. Gdyby nawet zgodzić się na myśl, że wystawa powinna dać dokładny obraz hodowli krajowej, to i wtedy, współudział włościan pomijając materyalną niemożliwość, nie dałby nam żadnych wskazówek — byłyby to bowiem nieliczne tylko wyjątki.

I dziś niektórzy zbogaceni chłopi posiadają np. niezłe konie, ale większość mieć ich nie może. Jedynie wystawy powiatowe dać mogą o stanie hodowli włościańskiej niejakie pojęcie. W tym roku do Warszawy trzech włościan nadesłało konie, wszyscy oni mieszkają w gubernii siedleckiej, w której na poprawę rasy nie mało wpłynęła stadnina rządowa w Janowie. To samo zauważono na wystawie w Lublinie; najlepsze konie wystawili włościanie zokolic Łęczny, w której istniała zarodowa stajnia p. Grabowskiego. Brak łąk i umiejętności produkowania paszy, a zwłaszcza brak reproduktorów nie pozwala chłopom podnieść hodowli inwentarza i żadne wystawy temu nie zaradzą.

Względnie do skromnych wymagań, jakie postawiliśmy, wystawa tegoroczna przedstawia się bardzo dobrze. Jedynie dział koni, który z każdym rokiem zajmuje coraz mniej miejsca, wypadł nieszczególnie. Za mało widać dążności do wytworzenia rasy silniejszej i praktyczniejszej, przeważnie zaś znajdujemy tylko konie arabskie i angielskie, a więc służące jedynie do popisu i zabawy, bo na reproduktory większość wystawionych okazów nie posiada odpowiednich warunków. Są wszakże i przedstawiciele ras pociągowych, z których ardeńska wystąpiła dosyć licznie, bo oprócz ładnego ogierka, przeznaczonego na premium przez redakcyę *Hodowcy*, p. Mathieu handlarz koński z Francyi wystawił 6 ogierów tejże rasy. Jest także piękny ogier normandzki, silny koń powozowy p. Jakubowskiego z Wierzchowisk i kilka perszeronów, chociaż ta przeceniona rasa dzisiaj mało już znajduje zwolenników. W dziale tym nie otrzymał nikt złotego medalu.

Najlepiej przedstawia się dział bydła rogatego, w którym znowu prym trzyma obora p. Unruga z Ryk, nagrodzona i w tym roku złotym medalem. Licznie reprezentowaną jest rasa holenderska, najodpowiedniejsza, zwłaszcza przy systemie pachtu do hodowli w naszym kraju, bo wątpliwem jest, czy produkcya bydła opasowego należycie opłacić się może, wobec konkurencyi ze stepowem. Dlatego nie przywiązujemy wielkiej wagi do prób, czynionych w celu wytworzenia rasy mięsnej przez p. Michalskiego z Borowna, który przedstawił 10 pięknych okazów, powstałych ze skrzyżowania shorthornów z rasą krajową.

Podczas gdy hodowla bydła znajduje się u nas w pierwszym zaledwie okresie rozwoju i nie wyrobiła sobie dotychczas odpowiedniego kierunku, którego dopiero nieraz omackiem szuka, owczarstwo dosięgło dziś dosyć wysokiego stopnia doskonałości. Ta gałąź hodowli już przed kilkudziesięciu laty rozwinęła się i wstąpiła na racyonalną drogę, do czego w części znacznej przyczyniła się protekcya, okazywana jej ze strony rządu przez udzielanie np. kredytu bankowego itp. W dziale tym uwydatnia się najlepiej zaznaczony przez nas charakter wystawy—wszystkie prawie okazy przeznaczone są na sprzedaż. Na szczególną uwagę zasługują owce p. Łukaszewiczowej z Tulibowa t. z. *merinos précoces*. Rasa ta, nowo wytworzona, odznacza się nader szybkim wzrostem, a więc posiada przyszłość. Okazy te jednak nie odznaczały się pod innymi względami, to też medalu nie otrzymały.

Dział trzody chlewnej był bardzo słabo opatrzony, nieco lepiej dział drobiu, chociaż i tu nic nowego niema do zanotowania. Oprócz tego na wystawie znajdowały się jeszcze psy, nabiał i przedmioty, mające związek z hodowlą inwentarza.

L.

BIEDA AKADEMICKA

(we Lwowie).

Galicyanie są urodzonymi wyznawcami i wykonawcami zasady: *laissez faire, laissez aller*, którą ekscelencya Grocholski przełożył na sławne: *naj bude, jak buwało*. To też dzieją się u nas sprawy, ogół obchodzące, że tak powiem, same. Czy kto np. zastanowił się tu nad tem, z jaką to szkodą dla kraju większa część i to właśnie najzdolniejszych młodzieńców pozbawionych środków utrzymania najlepsze marnuje siły na męczącej pracy zarobkowej, która nie odpowiada ani ich przyszłemu zawodowi, ani zdolnościom. Wówczas, kiedy umysł jeszcze najpodatniejszy do przyjmowania wrażeń i najpochopniejszy do odbierania ich, wówczas więc, kiedy młody człowiek najchętniej jeszcze i najłatwiej mógłby się uczyć, aby później zostać swego społeczeństwa zaszczytem i podporą, musi się zaprządz do pracy i przez dzień dźwigać jarzmo dla kawałka chleba—szczęśliwy jeszcze, jeśli nie ma do utrzymania matki, siostry, lub chorego ojca, co nie jest u nas wyjątkiem. W nocy dopiero wolno mu uczyć się i... marzyć. Myślał naiwnie, że na podstawie świadectw z odznaczeniem uzyska jakieś stypendyum lub inną zapomogę, a czy posiada dowód szlachectwa? Najczęściej nie, więc już i po nadziei. Stypendyów w Galicyi jest nawet bardzo wiele, ale największej miejscowych, familijnych i szlacheckich, kilka przeznaczonych dla mieszczan wyznania chrześciańskiego, przyczem także na pierwszem i drugiem miejscu uwzględnia się „synów oficyalistów prywatnych z powiatu X., synów urzędników z powiatu Y" itd. Kto przypadkiem w tym lub owym powiecie się nie rodził, choćby był sto razy godniejszy, może sobie spokojnie umierać z głodu, nikt mu tego nie zabroni. Jeden tylko fundator chrześcianin, podobno dr. Towarnicki, dozwala w liście fundacyjnym załączyć metrykę chrztu, albo metrykę urodzenia, czyli o jego stypendyum jedynie ubiegać się wolno i akademikom żydom. Oprócz tego są dwa stypendya żydowskie dla studentów bez różnicy wyznania. Nareszcie *jedyne* stypendyum na 300 złr. w złocie przeznaczone jest bez żadnych zastrzeżeń dla uczniów pilnych i zdolnych, bez różnicy stanu, wyznania, urodzenia — i nie wstyd że to przyznać, iż ono właśnie nie jest krajowe, lecz rządowe, imienia ces. Franciszka Józefa. Ale młody akademik nie zraża się niczem; owszem, jeśli o własnych siłach kiedyś wypłynie, rad będzie, że obył się bez żebraniny jakiejkolwiek.

Tymczasem jednak koniecznie żyć trzeba. „Z moją wiedzą, z mojemi świadectwami przecież lekcye dostanę." I w tem się mylisz, przyjacielu. Bo pominąwszy szczęśliwy przypadek, który nie wchodzi w rachubę, dostajesz lekcye w majętnym domu, tj. takie, z których utrzymać się można, tylko wówczas, jeśli masz protekcyę a do tego znów potrzeba oprócz licznych koligacyj i poleceń, zgrabnego ułożenia, pięknego ubrania i wielkiej zręczności w przelewaniu z pustego w próżne. Kto ma np. przyjaciółmi kilku *gogów*, „bywających w domach," odwiedza z nimi wszystkie podejrzane zaułki, uwielbia ich tużurki i krawaty, może być również o losy swe spokojnym. Równie częstą jest protekcya kobiet, ale łaskę ich zjednywa sobie tylko „ładny chłopiec," który umie i wie, jak być wdzięcznym. Zwykły biedak, zanadto uczciwy, aby takich środków się schwytał, niech uczy dzieci biednego urzędnika na trzeciem piętrze za 5—8 złr. miesięcznie. A i w tym względzie lwowianie szczęśliwsi jeszcze od kolegów swoich z prowincyi. We Lwowie każdy ma mniej więcej jakie takie znajomości, z prowincyi przyjeżdża obcy, nieobeznany ze stosunkami, nikt mu nie wskaże właściwej drogi; śmiesznem byłoby zresztą żądać, aby ktokolwiek chodził od domu do domu pytaćza niego: „czy nie potrzeba wam nauczyciela?" Więc biedak długo i na najlichszy czeka zarobek. Los jego zależy od ślepego przypadku, który rzuca nim jak piłką to w tę, to w ową stronę. Jeżeli liczy jeszcze cośkolwiek na biura wywiadowcze, na anonse, umieszczane w tej lub w owej gazecie, na kartki wystawiane w oknach sklepów a mianowicie księgarni, to zbogaci się tylko o pewną ilość zawodów. Ale są inne jeszcze środki utrzymania np. dyurna u adwokatów, w urzędach krajowych i cesarskich. Lepiej płacone, jak np. w namiestnictwie, w krajowej dyrekcyi skarbu, dostają się podobnie jak stypendya i lepsze lekcye wyłącznie dzieciom protekcyi. Tylko adwokaci, z wyjątkiem znowu niektórych, mniej może przebierają, lecz płacą za 6 godzin dziennie 10 — 15 zł. na miesiąc. Są wprawdzie i tacy, którzy płacą mundantom po 20 zł., ale ci już należą do arystokratów między adwokatami i przyjmują tylko za poleceniem jakiegoś radcy lub innej „wielkiej ryby." W urzędzie podatkowym za czas od 8—3 godziny płacą 16 zł. miesięcznie, choć wyznaczonych jest 24 zł. (na dwa dyurna po 24 zł. przyjmują 3 dyurnistów i rozdzielają pomiędzy nich sumę 48 zł.); w kadastralnym, za 8 godzin bardzo uciążliwej pracy, płacono przeciętnie 1 zł. dziennie, choć przyrzekano 1 zł. 50 ct. Było wprawdzie i kilku takich, którzy mieli najwyższą sumę, techników i w ogóle zdolnych rachmistrzów, ale ilu akademikom płacono po 50 — 80 ct. dziennie! Przytem przyjmowano każdego, kto tylko się zgłaszał, nawet furmanów, szewców i posługaczy. Ażeby powyższe słowa nie wydawały się przesadą, zapewniam, że ja sam który przez 3 miesiące pracowałem w tym urzędzie, nie mogąc nigdy osiągnąć przepisanej liczby 1,000 parcel dziennie, kolegowałem tam z dawnym znajomym moim, szewcem, „narzeczonym" naszej służącej, który odtąd unikał cały dla mnie szacunek. *Les extremes se touchent.* U góry synekury i ohydny nepotyzm, u dołu skrajna demokracya. A towarzystwa akademickie? Bratnia pomoc słuchaczy uniwersytetu ma tak mało funduszów, że bezprocentowe pożyczki, które udzielą, nie przenoszą nigdy 10 złr.

O wsparciach wobec tego nawet mowy być nie może. W ostatniem dopiero czasie poczęto myśleć w kołach akademickich o zaradzeniu złemu przez założenie osobnej komisyi informacyjnej, która zajmuje się wynajdywaniem zatrudnień dla biednych akademików. Póki jednak publiczność nasza nie pośpieszy Bratniej pomocy z bratnią pomocą, to i ta piękna myśl akademików nie znajdzie urzeczywistnienia. Faktem jest bowiem, że bardzo mało kto zwraca się do tej komisyi z prośbą o nauczyciela lub dyurnistę, większa część zaś szuka ich sobie w powyżej opisany sposób.

Po przedstawieniu środków zarobku zwykłego lwowskiego akademika, który niema skądinąd utrzymania i wymienieniu zwykłych dochodów za pracę nauczycielską i kancelaryjną, podnosimy jeszcze ogromny popyt za jakiemkolwiek zajęciem w mieście liczącem blisko 1,000 słuchaczy uniwersytetu (razem z ukończonymi już a nie mającymi posad prawie dwa razy tyle) i 200 politechników na ledwie 100.000 mieszkańców. Zważyć przytem należy, że o lekcye starają sie również nauczyciele gimnazyalni, dość źle płaceni, uczniowie gimnazyum z klas wyższych i politechnicy a będziemy mieli obraz konkurencyi na tem polu. Mało potrzeba już wyobraźni, aby na tem tle odmalować sobie dokładnie stosunki, w jakich żyją akademicy lwowscy. Dość powiedzieć, że autorowi tych słów znanych jest wielu, którzy przez cały dzień pracując, nie zarabiali więcej nad 17—25 zł. na miesiąc, podczas kiedy życie najskromniejsze i pozbawione wszelkiej wygody kosztuje tu 30 zł. w przecięciu. A nasi wielcy matadorowie, którzyby mogli złemu zaradzić, przypatrują się smutnemu temu widowisku bezczynnie i bezpłatnie. Odwieczna to u nas praktyka! Czy nie podobni ci domorośli politycy do owego filozofa z noweli Sewera *Franuś Walczak*, filozofa, który póty obserwował z boku biednego chłopca w siermiędze, także bezczynnie i bezpłatnie, póki ten w zapasach z losem nie zginął. Doprawdy podobieństwo rażące! Czy nie poznajesz się Galicyo?

L. C.

LITERATURA UKRAIŃSKA.

VII.

P. Petrow zaznacza następujące okresy w rozwoju ukraińskiej literatury:

1) Epoka pseudo-klasycyzmu i parodyowanych trawestacyj, rozpoczęta przez Kotlarewskiego.

2) Epoka panowania sentymentalizmu w literaturze, której głównym przedstawicielem jest Kwitka-Osnowjanenko.

3) Epoka romantyczno-artystyczna, powstała skutkiem wpływu literatury polskiej i rosyjskiej.

4) Epoka literatury narodowej, łącząca w sobie pojęcia narodowości łącznie z klasycyzmem i romantyzmem, w istocie zaś były to niejasne refleksye słowianofilskich tendencyj.

5) Epoka ukraińskiego słowianofilstwa od końca r. 1840 do początka 1860, ściśle związana z rosyjskiem słowianofilstwem, charakteryzująca się nienawiścią do polskości.

6) Nowa epoka ukrainofilstwa, w której odbija się kierunek demokratyczny.

Autor określa każdą z tych epok ogólnym poglądem i następnie w porządku biograficznym krytycznie ocenia każdego pisarza, którego do tej lub owej zalicza. Taki jest plan wykładu.

Dość zastanowić się nad tym podziałem, ażeby uznać całą chwiejność podstawy, na jakiej on właśnie spoczywa. Sentymentalna literatura z wybitnym charakterem idylicznym nigdy nie występowała w ukraińskiej i wogóle w żadnej słowiańskiej tak, ażeby mogła znamionować pewien okres w jej rozwoju. W ukraińskiej literaturze był to raczej kierunek *sentymentalno-romantyczny*, wyrażający się z jednej strony zwrotem do stosunków realnych, z drugiej współzawodnictwem genialnych poetów i pisarzy tej samej szkoły dwóch sąsiednich z Rusią narodów: Mickiewicza, Puszkina, Żukowskiego i in. Rozbudzona w tym czasie fermentacya umysłowa szukała punktu wyjścia dla oznaczenia miejsc sobie i literaturze noworodzącej się w rodzinie słowiańskiej. Fermentacya ta rozwijała w jednych szerzej i samodzielniej ideę narodowościową (Kulisz, Szewczenko), innych zaś popychała do panslawizmu rosyjskiego (Bodianskij, Maksymowicz). Z tego wrzenia umysłowego, ścierania się zdań, opinij, poglądów, kierunków powstał nowy okres *literatury narodowej* (nie ludowej tylko). Na jego czele stanął Taras Szewczenko, a za nim cała spora gromada nowych pisarzy, którzy pracami swemi ugruntowali samodzielność duchową literatury ukraińskiej, przekonawszy się, że nic nie może zniszczyć żywotności narodu, przejawiającej się w rozwoju jego ducha.

Epoki „ukraińskiego słowianofilstwa“ i „ukrainofilstwa“ nie mogą stanowić bynajmniej osobnych okresów rozwoju literatury, są raczej prądami, szukającymi naturalnego odpływu; idea słowianofilska może być tylko zboczeniem umysłowem pewnej grupy marzycieli, a dobrze pojęta idea ukrainofilstwa jest nieodłączną od pojęcia samodzielności narodowej, której rozwijanie jest najbliższem zadaniem każdej literatury. Dlatego też objaw obu powyższych idej nie stanowi bynajmniej osobnego peryodu, lecz jest tylko prądem w *literaturze narodowej*.

Z tego, cośmy powiedzieli, wynikałoby, że w miejsce sześciu okresów p. Petrowa, należałoby dla ściślejszej charakterystyki przyjąć raczej trzy:

1) Pseudo-klasyczny, 2) sentymentalno-romantyczny i 3) czysto-narodowy — obecny.

Co do planu wykładu, przyjętego przez p. Petrowa, ma on wielkie dogodności i zalety, ale przyczynia się niezawodnie do tego, że praktyczna wartość dzieła—dla czytelnika — znacznie się zmniejsza. Plan ten da się po części usprawiedliwić: literatura ukraińska, jak każda noworodząca się, niektóre gałęzie posiada zaledwie rozwinięte, inne naznaczone, a niwa wielu nauk leży jeszcze odłogiem. To też p. Petrow przyjął system biograficzny, który o tyle jest dla popularnego użytku wadliwym, iż nie daje *obrazu* literatury, ale tylko materyał. Gdyby materyał ten był ugrupowany, zyskałby na tem przedmiot, bo stałby się wyrazistym. Łatwo byłoby spostrzedz, że ta lub inna gałąź jest bardziej rozwiniętą i opracowaną lub nietkniętą jeszcze; dziś trzeba szukać, a raczej bardzo pilnie przeczytać całe dzieło, ażeby urobić jakieś pojęcie obrazu. W ukraińskiej literaturze są prace bardzo poważne i ze wszechmiar godne poznania w dziedzinie etnografii — dumy, pieśni, obrzędy, zwyczaje — tak że historyk obowiązany był niejako traktować tę sferę oddzielnie i wyczerpująco, a tymczasem p. Petrow rozproszył się pomiędzy biografiami autorów.

Wielu bardzo autorów, którzy nie pisali po rusińsku, zalicza p. Petrow do grupy ukraińskiej, np. Gogola. Nie wydaje nam się to słusznem, bo na tej zasadzie wszystkich, piszących w językach pobratymczych o sprawach lub rzeczach ukraińskich, należałoby zaliczyć chyba do tejże kategoryi. W takim razie i nasz Szymonowicz powinien był znaleść miejsce w pracy p. Petrowa: *Oczerk istorji ukrainskoj literatury XIX stolietija*. Prawda, że nietyle język, ile duch pisarza, sfera, tendencya określają jego narodowość; ale literatura ma swój organ — mowę, i tylko według tej miary, a nie według podobieństwa duchowego, należy pisarzów klasyfikować.

Samodzielność w literaturze ukraińskiej ujawniła się równocześnie drugą bardzo sumienną pracą—*Pokazczyk nowoi ukrainskoji literatury* (1798—1883) M. Komarowa, która zawiera bardzo wyczerpującą bibliografię. Autor nie włączył do swego *Pokazczyka* literatury Rusi halickiej, naprzód z tego powodu, że miał wielką trudność w wydostaniu materyałów, na co uskarża się nawet, a powtóre dlatego, iż dowiedział się, że rusini haliccy sami przygotowywują własną bibliografię.

Wykład przedmiotu nie chronologiczny, ale alfabetyczny, co sam p. Komarow stara się usprawiedliwić w przedmowie. „Wykład systematyczny według gałęzi nauk—powiada on—zapewne najlepszy, ale w literaturach bogatych. Nasza dotychczas jeszcze bardzo uboga i składa się przeważnie z utworów beletrystyki, a naukowych prac, nawet elementarnych, posiada bardzo mało.“ Mówiąc o literaturze ukraińskiej — zwyczajnie ironizują — że ją całą można złożyć na jedną półkę — ale niechaj przynajmniej będzie półka — „i dziś już można ją ozdobić 300 autorami.“ Jak i czem się to dzieje, że cała robota na niwie ukraińskiego piśmiennictwa postępuje bardzo powoli i czasem jakby ukradkiem — niech to kiedyś wyjaśni prawda historyczna, a tymczasem można powiedzieć: „neuważaj na wrażaj; sij żyto—chlib bude.“

Niestety, my naród pobratymczy, stojący na niższym od nas szczeblu oświaty, traktujemy z wyniosłością tak dla nas wielce—wielce szkodliwą. Jest to krótkowidząca i szkodliwa obojętność. Można się założyć, że w Warszawie nie ma pisma tygodniowego lub miesięcznego, w którymby nie było jakiegoś przeglądu, krytyki, studyum z obcych nam piśmiennictw; nie utrzymuję, aby było złem—ale cudze rzeczy dobrze wiedzieć, a swoje—potrzeba.

Jeden tylko Szewczenko dostąpił u nas zaszczytu: tłomaczyli go L. Sowiński, Syrokomla, Gorzałczyński; krytykę pomieścili również Sowiński (p. Komarow nie wymienia gdzie) i w *Bibliotece warszawskiej* pisał o nim wyczerpującą rozprawę p. Battaglia ze Lwowa; nieco skąpiej odzywali się Kirkor, Spasowicz i Wójcicki — otóż to jest wszystko lub prawie wszystko! Możnaby tu zaliczyć Michała Grabowskiego: o pieśniach ukraińskich, alež to się działo w r. 1837. Trudno usprawiedliwić się tem, że to literatura uboga, bo w tej ubogiej literaturze są działy tak bogate i piękne (etnografia, utwory ludowe, pieśni historyczne), że przewyższa nawet naszą. Badamy *Nibelungi* i *Vedy*—czyż nie bliższe są nam treścią, duchem, krwią nieraz dumy historyczne? Francuzi, niemcy, w ostatnim czasie włosi zwrócili przecież uwagę na to świeże, żywotne źródło poezyi, które się nazywa *ludem wiejskim*, na pieśń gminną — tę „arkę przymierza między dawnemi a nowemi laty;“ my zaś dotąd tradycyjnym zwyczajem trzymamy się—szlacheckiej ścieżki.

Aby słowa nasze nie wydały się bezzasadną przesadą, wyliczmy kilka główniejszych odezw o ukraińskiem piśmiennictwie w literaturze francuskiej:

Rambaud *L' Ukraina et ses chansons historiques* (*Revue des deux mondes*, 1875, czerwiec).

La Russie epique—les tchoumaks 407—500.

La poete national de la Petite-Russie Chevtchenko (*Rev. des deux mondes*, czerwiec).

Nawet włosi zapoznają się z ruchem piśmiennictwa ukraińskiego: *Il movimento litterario ruteno in Russia e Galizia*, a niemcy studyują i znają język i literaturę lepiej niezawodnie od nas. Jaka jest u nas ignorancya rzeczy ukraińskich i języka, najlepiej dowodzi świetnie ostatnia powieść p. Sienkiewicza *Ogniem i mieczem*, gdzie niema trzech

wyrazów złożonych bez błędu. Zapewne znajomość wszystkich języków nie jest obowiązkiem pisarza, ale jeśli ten pisarz potrafi cytować angielskie, francuskie i niemieckie frazesy bez błędów, niechże się zdobędzie na takież frazesy i w ukraińskiej mowie lub niech warszawsko - ukraińskiej gwary nie wywleka na pośmiewisko publiczne.

Wczytawszy się uważnie w suchą na pozór bibliografię *Pokazczyka* między wierszami możemy przeczytać wiele myśli, godnych naszej uwagi.

F. Rawita.

LIBERUM VETO.

Wystawa zeszłoroczna i obecna.—Okrzyk trwogi i hasło do odwrotu.—Porażka w walce z Ameryką.—Kowale własnego losu.—Kogo nam żal.—Znak zapytania na gruzach dworków.—Dęby arystokratyczne w powojach lichwiarskich. — Niepoczytalny dobrodziej. — Zwierzyniec.—Dotychczasowa jego trupa.—Potrzeba zwierząt, co ryczą. — Obawy o stare sitko. — Jeszcze obawa. — Same „zapadniki.“ — Klucz *Now. Wremieni* do zjazdu poznańskiego.—Ciekawe wyścigi.—Prośba o poświadczenie.

Specyaliści—t. j. ludzie, mający dokładne informacye z magazynów, restauracyj, handlów win itd.—zaręczają, iż tegoroczna wystawa inwentarza nie ustępowała zeszłorocznej a wyścigi były również ożywione. Gotów jestem podpisać ten nekrolog dla „karnawału letniego,“ ale z pewnem zastrzeżeniem. Może pięknych koni, bydła, owiec było na Placu ujazdowskim tyleż, co przed rokiem; może Syllabusy i Tailleventy biegały po torze mokotowskim z niemniejszą od swych poprzedników szybkością; może „naturalni przewodnicy narodu“ zakupili dla swych żon również wiele strojów; ale wątpię, żeby ich serca uderzały dawną wiarą w pomyślne jutro. Ponieważ dziennikarscy heroldowie „obywatelstwa“ z wież swych ogłosili kapitulacyę ziemiańską przed zwycięską armią producentów amerykańskich, to i ja taić nie potrzebuję, że dla załogi szlacheckiej nadeszły smutne chwile. Usta ustom jej podają okrzyk trwogi, zapowiedź klęski. Główne źródło dochodu — zboże, zmniejszane nieurodzajem i gradami, nie wytrzymuje już współzawodnictwa z zagranicznem, a raczej zamorskiem, spada w cenie i grozi ruiną. „Zmienić system gospodarstwa“—zabrzmiało na całej linii hasło ratunku. Ale łatwiej zatrąbić, niż wykonać taki odwrót. Zmienić system — zamiast pszenicy i żyta posiać buraki i rośliny pastewne — to nie tak łatwo, jak odprawić jednego ekonoma i przyjąć drugiego. Pomijając bowiem trudności rolnej warunki zbytu, zagradza drogę rutyna, nałóg, t. z. tradycya, która ziemianina naszego wyniańczyła i która mu ciągle przewodniczy, Po za szczupłem kołem wyjątków, jest on gatunkiem społecznym w starych formach myślenia skostniałym, mało przedsiębiorczym i wspomnieniami lepszej przeszłości odurzonym. Gdy go fala gwałtownych zmian ekonomicznych zaleje, on zamiast na niej płynąć, usiłuje ją wypić — i tonie. Może mniej budzą współczucia nieprzyjazne warunki zewnętrzne dla ziemianina, niż ten żelazny, niczem niedający się złamać fatalizm wewnętrzny, który go na przekór rozumowi i doświadczeniom pcha ku zgubie. Tragicznym jest widok człowieka, który własną ręką kuje sobie los smutny i nie ma siły oprzeć się samobójstwu. Życie tysiącem dowodów przekonywa go, że powinien ścieśnić swoje potrzeby, dopasować je do wymagań czasu, on tymczasem sądzi, że burza, która przelatuje nad jego głową, wkrótce minie. Jeżeli na te złudzenia i omyłki szlacheckie rzucam słowo żalu, to bynajmniej nie mam na myśli rozwalających się gmachów złotych naszego wielkopaństwa, lecz podmyte ekonomicznie dworki średniej własności ziemskiej, które nie będąc arkami zbawienia, były jednak i są nieraz schroniskami cnoty, zacnych dążeń i miłości dla kraju. O ile z nich wychodzą *morituri* na arenę walki o byt — żałuję ich szczerze, bo niekiedy giną z nimi wartościowe pierwiastki społeczne, ustępując miejsca gorszym lub niedojrzałym. Na gruzach niejednego z tych dworków staje znak zapytania, a pod nim buduje sobie przytułek przebiegły kot lub głupi wół, którego dopiero dalecy potomkowie wykształcą się na ludzi. A ponieważ dziś musimy drżeć o każdą stratę żywiołów dodatnich, nawet mając nadzieję, że czas z zanieczyszczonych rud ludowych wytopi nam szlachetny kruszec, zatem obecne bankructwo średniej własności ziemskiej jest i dla nas objawem smutnym.

Inne uczucie ogarnia nas na widok arystokratycznych dębów, które oplata coraz silniej lichwiarski powój. Te dawno już spróchniały w rdzeniu, nie dostarczają krajowi użytecznego materyału, a ludowi dobroczynnego cienia. Tu i owdzie stoi jeszcze zdrowy, ale większość toczą robaki. Jeżeli na takich francusko-angielskich, a wytartych i bezmyślnych czołach zasiadła troska, wywołana widmem współzawodnictwa amerykańskiego — a raczej — pamięcią o wzrastających z każdym rokiem długach—wcale nas to nie martwi. Ci Grand-Ducy, Tveedy i Braid-Maidy szlacheckiego rodu dawno wycofani zostali z wyścigów obywatelskich i los ich wcale nas nie obchodzi. Niech się martwią restauratorowie, drogie kamelie i zbytkowne magazynierki—w rachunkach społecznych deficytu zapisywać nie trzeba. To nie aktywa narodu.

Przed wystawą pisma zapowiadały, że ziemianie, korzystając ze sposobności, naradzą się wspólnie nad swoją niedolą. Do tej chwili o takiej naradzie nie słychać, wątpię zaś, ażeby ona do czegokolwiek doprowadziła. Przewrotu ekonomicznego nie zażegna żadna zbiorowa uchwała, a nadto ci, którym bieda dokucza, wielu przedstawicieli na wystawie nie mają. Magnatom, choćby z poszarpanemi fortunami, los szaraków na sercu nie zaciąży, a własne dziury jakimś spadkiem, ożenkiem lub długami podłatają.

Bądź co bądź, „naturalni przewodnicy narodu“ rozjadą się do domów z tegorocznej wystawy pod temi uczuciami, które *Kuryer świąteczny* najwymowniej podobno tłomaczy, rysując szlachcica z żydami w brodzie i włosach. Jakiś p. R., umierając, zapisał—według *Kuryera warsz.*—100,000 rs. obywatelom ziemskim, sąsiadom, jako kapitał żelazny, od którego procenty mają być obracane na pożyczki dla potrzebujących po 5%. Otóż jego bratankowie, spadkobiercy, mają zamiar obalić testament dowodzeniem, że ich stryj był... „niepoczytalnym.“ Charakterystyczny w naszych czasach argument! Ten, który chce pożyczać szlachcie na 5% uważany jest za waryata.

I oto nagle, zanim opinia zdołała uwierzyć doniesieniom gazet, mamy zwierzyniec. Królują w nim dotąd: słoń, wielbłąd, niedźwiedź, wilk, dwie antylopy, dwie kozy indyjskie, dwie sarny, borsuk, dziesięć małp i trochę różnorodnego drobiazgu. Naturalnie w ostatnim dniu stworzenia było istot więcej, ale nie grymaśmy, bo to dopiero początek. Wkrótce ma być sprowadzony „król-pustyni.“ co radzę uczynić jak najprędzej, gdyż Bagatela bez lwa zostanie bagatelą. W przekonaniu miejskiego ludku to, co nie jest dużem i nie ryczy, na uwagę nie zasługuje. Zwłaszcza gdy nie ryczy! Nawet lew, jeżeli będzie spokojnym, wkrótce spowszednieje, podczas kiedy krzykliwa małpa może liczyć na trwałe powodzenie. Widziałem w Berlinie pawiana, który ciągle kwiczał i wyrabiał rozmaite obrzydliwości — zgromadzał też przed swą klatką najwięcej widzów. Ale zdarza się to nietylko w ogrodach zoologicznych.

Jeżeli tego będzie potrzeba, sprowadźmy gromadkę pawianów, aby tylko zwierzyniec znalazł należyte poparcie. Bo najstraszniejszą w nim dotąd jest grożąca u nas wszystkim przedsięwzięciom mara — obojętność. Ręce nam puchną od oklasków, dopóki coś jest modnem, ale gdy nowe sitko zawiśnie na kołku, stare idzie do śmieci. W otworzonym zwierzyńcu spoczną poważne kapitały (60,000 rs.—to kosztorys humorystyczny), dla miasta z półmilionową ludnością jest on potrzebnym i utrzymać się może, niech tylko nie ostygnie nazajutrz ten zapał, który go dziś stworzył. Ze zmarnowanych robót, które rozpoczęliśmy a nie skończyli i zmarnowali, dałaby się złożyć olbrzymia piramida, jako pomnik dla naszej niewytrwałości. W sprawach publicznych nie boję się tak wszystkich biesów, które na nas czyhają, jak tej jednej polskiej cnoty. Czem ona jest, zapytajmy Towarzystwo muzyczne, Kasę Mianowskiego i inne instytucye, które powstając nie mogły nadążyć w przyjmowaniu członków, a dziś nie mogą ich złapać. Czy tej cnoty doświadczy ogród zoologiczny? Nie chcę być złym prorokiem, ale gdy patrzę, jak ten nasz ogół, zamorfinowawszy się przeciw ostrym bólom, drzemie i patrzy naokoło siebie zamglonemi oczami, jak od czasu do czasu wstrząśnięty przebudza się i ożywia a potem znowu w sen zapada — mam złe przeczucia. To też gdybym był akcyonaryuszem zwierzyńca, domagałbym się pomieszczenia w bilansie rubryki strat z powodu przedawnienia się jego jako artykułu mody. Kto wie, czy on za lat kilka nie będzie tyle wart, ile np. skład krynolin i czy znowu kiedyś zapał ku niemu się nie rozżarzy!

Jeszcze jedna obawa. Co na ten ogród, na tę gromadkę z Zachodu sprowadzonych zwierząt powie *Nowoje Wremia*, zwłaszcza że dotąd jeszcze niema między niemi nawet syberyjskiego lisa? Niejestże to nowy objaw „intrygi?“ Tyle już do niej przyczepiono skromnych i niewinnych prac naszych, że i to przedsięwzięcie może p. Mołczanowowi odkryć swój polityczny korzonek. W Poznaniu urządzono zjazd lekarzy i przyrodników. Mówiono na nim: o wpływie dziedziczności na życie indywidualne i narodowe, o geologicznych badaniach głębszych warstw ziemi itd. Zdawałoby się, że w takie kwestye „intryga“ nie wlezie. Tymczasem... przybyli czesi, którzy krzyczeli: *slava!* i *na zdar*. My nadwiślańscy prostaczkowie ani domyślelibyśmy się, co to znaczy, gdyby nam nie wytłomaczyło tajemnicy swym delikatnym rozumem *Nowoje Wremia*. „W pruskiem (?) mieście Poznaniu — powiada ono (*Kur. warsz.*) — zaszedł fakt, niedostrzeżony przez Europę (!), który wszakże poruszył miejscowe mrowisko. Na odbywający się tam zjazd polskich lekarzy przybyli deputaci czescy; polacy skorzystali z ich przyjazdu, aby narobić hałasu nad całą mityczną (?) rzeczpospolitą. Dwa słowiańskie narody, z których ani jeden, ani drugi nie wydały dotąd stanowczo *nic wybitniejszego* (!) w nauce medycyny, zawarły między sobą sojusz, omal nie na śmierć i życie, i to nawet nie w imieniu własnem, ale w imieniu *słowiańskiej cywilizacyi*. Rozumie się, że przytem przepomniano o niewielkiej jednostce—Rosyi. I nic w tem dziwnego, bo pp. słowiańscy medycy sprowadzili natychmiast *wszystko* na grunt katolicyzmu (!) i bodaj czy nie po raz pierwszy na tym ciekawym zjeździe w tak protestanckim kraju, jak Prusy, medycyna wystąpiła w usługach idei katolickiej i jezuickiej (!). W liście naszego poznańskiego korespondenta znajdują się ciekawe wyciągi z wygłoszonych na zjeździe *lekarskich* mów i szczegóły tego całego komicznego epizodu.“

Boże, co też myśmy zrobili! Szkoda jednak, że *Nowoje Wremia* schowało list swe-

go korespondenta do redakcyjnej szuflady i nie wydrukowało owych „ciekawych wyciągów.“ Możeby się okazało, że prywatne rozmowy i toasty sprawozdawca pomieszał z obradami zjazdu i że nawet te rozmowy i toasty daleko mniej były zabarwione szowinizmem, niż publiczne oracye przyjaciół *Now. Wremieni*, którzy mularzów przybyłych z Rosyi do budowania domów w Warszawie witają bębnami wyższej polityki i nad astrachańskim kawiorem gotowi są prawić o cywilizacyjnem jego posłannictwie. Zresztą, jeśli „przepomniano o Rosyi“ w Poznaniu, dlaczegóż obradującym nie przypomniał jej p. korespondent otwarcie, zamiast tajemnie spisywać „ciekawe wyciągi?“ On tam był — czy też nie — czy fabrykował swój akt oskarżenia w Petersburgu? Ej, powiedźcie, panowie, prawdę, czy on tam był?

W każdym razie, chociaż warszawskiemu zwierzyńcowi dostarczył okazów dotąd tylko „zgniły Zachód,“ przecież w Bagateli nie będzie brzmiał „hałas nad mityczną rzeczpospolitą?“ Tak? Prosimy o poświadczenie naszej lojalności.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Zagadkowe wezwanie. — Cukrownia ciechanowiecka jako instytucya narodowa. — Pożądany objaw. — Walka pod cmentarzem. — Nieświadome zbrodnie. — Towarzystwa koniokradów.

Rzucam okiem na przedostatni numer *Korespondenta płockiego* i ze zdziwienia drętwieję. „Chwała walczącym *pro publico bono*, chociażby i zwyciężonym; hańba nie biorącym udziału w takich pracach.“ „*Sursum corda!* Serca w górę! *Unitis viribus pro publico bono*. „Są obowiązki bez zobowiązania!“ Ten ostatni frazes przypomina mi, co w wypadkach takich czynić należy. Nie pytam więc, o co tu chodzi, ale na wezwanie spieszę i wołam: „Gdzie Termopile?!“ „Są obowiązki bez zobowiązania!“ Zamiast pancerza chwytam gorset mojej żony i zza pieca wyciągam kij, co mi został w pamiątce po przodku moim urzędniku banku. Innej broni nie posiadam, bo w owym czasie gdym jechał do Warszawy na uniwersytet p. Sienkiewicz nie napisał jeszcze *Hani*, więc i ojcowie nie wręczali z uroczystą przemową dla niewiadomego użytku zardzewiałej karabeli młodym studentom. Jako tako uzbrojony spieszę na bój — bój ostatni, ale ponieważ nie wiem, dokąd mam skierować moje kroki, biorę więc napowrót porzucony numer i szukam objaśnienia. Z początku nic rozumiem nic, potem dowiaduję się, że rzecz idzie niby o cukrownię w Ciechanowie, ale i tu nic nie rozumiem; wreszcie połykam kilka szpalt wojowniczo-tajemniczej frazeologii, naszpikowanej gdzie niegdzie ekonomicznymi ogólnikami i na wyrazie: gorzelnia—uspokajam się, chociaż nie rozumiem do końca. Jedno tylko pojmuję, że gdybym był właścicielem udziału w tem, zresztą uczciwie i rozumnie pomyślanem przedsiębiorstwie nie byłbym wdzięcznym zbyt życzliwemu autorowi za taką reklamę. Cukrownia w Ciechanowie jest sobie zwyczajną fabryką, różniącą się od innych tem tylko, że urzędnicy a podobno i robotnicy mają jakiś współudział w zyskach. Podobne przedsiębiorstwo, będące objawem walki stowarzyszonych mniejszych kapitałów z monopolem kapitału wielkiego i przetwarzające własne a niezakupione produkty, w zasadzie zasługuje na sympatyę. Ale nie trzeba znowu z zakładów, przeznaczonych do ciągnięcia dla właścicieli możliwie wysokiego zysku, czynić narodowych instytucyj, nie należy narzucać im pobudek i celów z produkcyą fabryczną niemających nic wspólnego. Wszelkie nasze przedsięwzięcia w tym rodzaju nie udają się zwykle dlatego, że wkładamy na nie zadania niepodobne do spełnienia. Kto wyrabia mydło, świece i cukier, może być zdolnym fabrykantem, nawet uczciwym obywatelem, alež nie róbcie z niego bohatera ogólnej sprawy. Serca w górę!—bo ceny buraków podskoczyły o 15 kopiejek. Jakkolwiek poprzestać nie możemy na tak skromnym ideale ekonomicznym, z sympatyą wszakże witamy tego rodzaju objawy, niepozbawione, że tak powiem, znaczenia wychowawczego u nas, gdzie nawet zasada stowarzyszenia nie liczy jeszcze zbyt wielu zwolenników*).

Z tej samej racyi życzliwie powitać chcemy próby wzajemnych stowarzyszeń od pogorzeli i gradobicia, których kilku zawiązało się w różnych miejscowościach kraju. Istniejące towarzystwa ubezpieczeń, korzystające z monopolu, nakładały zbyt ciężkie warunki. Nadzieja, że współzawodnictwo doprowadzi je do zmniejszania stopy opłat, zawiodła, co zresztą było do przewidzenia. Konkurencya w wypadkach, gdzie współubiegających się jest kilku, prędzej lub później prowadzi do porozumienia się między nimi i monopolu. Wzajemne stowarzyszenia mogą wszakże z pożytkiem istnieć wtedy tylko, kiedy przyjmie w nich udział znaczna liczba członków: potrzeba by więc połączyć je w jedno a ubezpieczenia uczynić obowiązkowemi. Istniał kiedyś projekt, żeby tę sprawę wzięło na siebie Towarzystwo Kredytowe, ale wraz z innymi „utonął w zapomnienia fali,“ tak, że dziś nawet stowarzyszeni nie stawią go w rzędzie wniosków, mających wyrażać *desiderata* stanu ziemiańskiego.

A jednak miałby on więcej sensu i widoków urzeczywistnienia, aniżeli żądanie obywateli kieleckich, którzy domagają się, żeby władze Towarzystwa Kredytowego wyrobiły u rządu zmianę przeznaczenia funduszu użyteczności ogólnej na pożyczki dla włościan i użycie go na budowę i naprawę dróg bitych. W samej rzeczy drogi nasze znajdują się w opłakanym stanie, ale to jeszcze nie racya, żeby raz powzięte postanowienie rządu zmieniło się do woli pp. ziemian kieleckich, bo jutro i inni zażądają np. asygnowania tego funduszu na budowę kościołów, inni teatrów itd. Motywy takie, że fundusz będzie użytym dla dobra wszystkich stanów, nie wytrzymują krytyki, bo np. mieszkańcy miast bezpośrednio użytkować z dróg prawie wcale nie będą. Interes ogólny — to jest po prostu interes większości, która woli mieć chleb, chociażby go wozić wypadło po wyboistej drodze, aniżeli jechać o głodzie po najlepszym trakcie.

Poprzednio już pisaliśmy o strasznej nędzy, jaka panuje w Zduńskiej woli; dotychczas stan rzeczy nie zmienił się na lepsze. Uboga ludność żyje jałmużną i przeczuwa widać nieuniknioną śmierć z głodu, kiedy tak wytrwale walczy o miejsce na cmentarzu, jak to opowiada korespondent *Kaliszanina*. W mieście i okolicy mieszka około tysiąca baptystów; sekciarze ci nie mają własnego cmentarza, grzebali więc zmarłych zwykle na katolickim. Kiedy obecnie umarł jeden z nich, udała się rodzina z prośbą do proboszcza, żeby pozwolił go pochować. Ksiądz zgodził się, ale nabożni parafianie zamknęli bramę. To samo zrobili i ewangielicy. Współwyznawcy zmarłego zwrócili się do władzy, ale ani przedstawienia, ani groźby ze strony burmistrza i naczelnika straży ziemskiej nic nie podziałały. Oporni w liczbie tysiąca nie chcieli ustąpić, nieboszczyk przez parę dni leżał pod murem, wreszcie musiano pochować go po za obrębem cmentarza. Zaiste nie samym chlebem żyje człowiek, kiedy bezkarnie pozwala wyzyskiwać się bliźnim swoim i śmierć głodową uważa za zwykły bieg rzeczy; jednocześnie zaś pomimo gróźb i perswazyj gotów jest bodaj do krwawej awantury, byle tylko nie ustąpić innowiercy kawałka ziemi — na grób.

W krótkich odstępach czasu na drodze nadwiślańskiej w dwóch oddalonych od siebie miejscowościach położono na szyny grube bale, które o mało co nie spowodowały wykolejenia pociągu. O zbrodnię tę podejrzywają okolicznych włościan. Rzeczywiście chłop nie rozumie w takich wypadkach następstw swego czynu; sam widziałem wyrostka, którego schwytano, jak układał na szynach kamienie w celu — jak objaśnił — zobaczenia, jak maszyna daleko je odrzuci; wiem również, że w lubelskiem złapano na gorącym uczynku dwóch włościan, którzy ścinali slupy telegraficzne dla zdobycia kilku łokci drutu. Nie jest to więc wyrafinowana zbrodnia, ale raczej naiwność dzikiego zwierza, który nie zdaje sobie wcale sprawy, że uderzenie jego łapy zabija człowieka. Ta bezwiedna chęć niszczenia jest naszą wadą narodową. W Ameryce są koleje licznie poprzecinane poprzecznymi przejazdami, na których wcale prawie niema dróżników. Dzwonek elektryczny zastępuje baryerę i daje znać o nadejściu pociągu. Wypadki zdarzają się rzadko — rzadziej niż u nas. Spróbójcie zrobić coś podobnego na Nadwiślańskiej drodze — chociaż przed jej pociągiem na mizernej szkapie uciec można — a nie doliczycie się wypadków.

Doprawdy, na brak oryginalności nie możemy się uskarżać. Ręczę np., że nikt w Europie nie odbył takiej podróży, jak pewien obywatel z kaliskiego, któremu ukradziono parę koni folwarcznych. *Z listem polecającym* udał się on do głównego złodzieja, zamieszkałego w Zduńskiej woli; widocznie rekomendacya była dobrą, bo p. naczelnik bandy polecił innym żydkom wskazać poszkodowanemu wszystkie konie skradzione w ostatnich czasach. Z zawiązanemi oczami obwożono szlachcica po różnych wertepach i pokazano mu trzy tajemne stajnie, gdzie wszakże koni swoich nie znalazł. Widocznie operacyi tej dokonali członkowie innego, również dobrze zorganizowanego towarzystwa.

A jeszcze złośliwi powiadają, że prawa nasze surowo karzą tworzenie tajnych stowarzyszeń!

X.

Kijów. Mamy już tytułową głowę — jest nią (albo nim, bo to zależy od głowy) p. Tolli. Nie wiem dlaczego, bo już pewnie nie z radości, że p. Tolli dostał tytuł „głowy,“ jakieś gorzkie myśli cisną się pod pióro, kiedy sobie przypomnę, jakie nieraz są dziwne losy ludzkie, jakiemi to drogami dąży się — do karyery. Można śmiało rozpocząć służbę publiczną od urzędu szynkarza (ciełowalnika), zostać potem właścicielem „kabaku,“ potem trzymać w „odkupie“ parę powiatów i posiadać własne gorzelnie, potem wziąść „podriad“ na dostawę sucharów lub czegoś dla wojska, potem dostać tytuł „sowietnika komercyi“ i być nareszcie chwalebnie zaliczonym „do klasy dyrygującej“ za długoletnią pracę dla społeczności... Doprawdy, wygląda to na ironię losu, a jednak jest czasem prawdą, świętą prawdą!

Kijowianie, lubiący zawsze spodziewać się czegoś, spodziewają się, że p. Tolli postara się nareszcie o to, ażeby Kijów posiadał tramwaj—bo sądzimy, że miasto, którego ogół mieszkańców sięga do 250 tysięcy, ma prawo tego żądać od swojej municypalności. Wszystkie te dziwaczne mowy o przeszkodach, mianowicie o niemożności połączenia z centrem t. j. z Kreszczatykiem Padołu i Peczerska, a również Starego miasta, wprost nie mają sensu. Jeżeliby Kreszczatyk wydawał się za wąski—mamy ulice o połowę takiej szerokości, na których jednak funkcyonuje przy wielkim ruchu kolej konna i parowa. Można doprowadzić przecież linie do Kreszczatyku, do In-

*) Z tego względu cukrownia ciechanowiecka była przykładem bardzo poważnym, była związkiem żywiołów krajowych i w tym kierunku początkujących, dlatego też cieszymy się, że jej burza omyłek i zawodów nie zwaliła (*Red.*).

stytuckiej ulicy, do Sofijowskiej (ze Starego miasta) lub do Aleksandrowskiej góry (z Padołu), a kilkadziesiąt kroków do środka miasta każdy może i piechotą zrobić. Dla komunikacyi z Padołem przez Aleksandrowski zjazd możnaby przy dobrej chęci urządzić kolej zazębioną (Zahnradbahn) z przesiadaniem w odpowiednich punktach do innych wagonów. Zresztą, nie chodzi o to, jak obejść przeszkody, ale o dobre chęci „hołowy.“ Niechżo ta głowa raz przecie stanie się prawdziwą i pożyteczną.

Od kilku dni mamy w Kijowie ciągłe prawie deszcze; oczywiście byłbym o tem nie mówił, bo uważam, że te deszcze na politykę i wojnę europejską nie mają żadnego wpływu, ale odświeżają inną, daleko ciekawszą dla nas sprawę—sprawę wielkiej, wielkiej ciemnoty nietylko ludu prostego. Oto pewnego nadzwyczaj gorącego dnia, nieco w stronę od środka miasta widzieliśmy ciekawe zjawisko: na gwoździach wbitych w parkan długim szeregiem, jak na pal wbite, nadziane były raki—tak, żywe raki! Mrugały mackami, wyciągały kleszcze i zaciskały konwulsyjnie, balansowały w powietrzu nogami — i milczały. Gdyby one mówić umiały! Ale cóż to za powód tego barbarzyństwa? Oto ni mniej ni więcej jak wiara ludu, że rak wbity na gwóźdź może deszcz sprowadzić. Mimowoli przyszła mi wtedy na myśl ballada „Romantyczność“ i te znacząco słowa:

Czucie i wiara silniej mówi do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko.

Dziś przecie nawet nie wolno byłoby tego powiedzieć. Biedne raki pokutowały za głupotę ludzką aż do dnia następnego podobno, ale zabiły swoje — deszcz był! Amatorom tedy wszelkich recept można polecić ten niezawodny środek na sprowadzenie deszczu, bo *na doświadczeniu* (używają tego wyrazu w podobnych zdarzeniach gospodarze) oparty.

Taki sam skutek niezawodny mają artykuły p. F. Rawity na p. M. S. z *Roli*, u którego wywołują zawsze — suche burze, już nie wiem, czy wskutek ogólnej posuchy w tem piśmie, czy może tylko wskutek wspólnych z nią zoologicznych czy biologicznych cech. Pan M. S. pod moim adresem wystosował filipikę do p. Rawity, który że mu nie odpowiada, nie dziwię się wcale, bo nie ma na co, ale p. M. S. wystąpił po kozacku, czy może inaczej:

Szach—mach i za Dowejkę podciął wąs Domejce!

Ta ochoczość do walki p. M. S. tak mi zaimponowała, że zadałem sobie trochę trudu przekonać się, o ile też to świątobliwe oburzenie jego jest słusznem. I oto, chociaż wiem, że nam obu znowu się dostanie, muszę powiedzieć p. M. S., że p. Rawita miał racyę: zrobiłeś pan więcej, niż plagiat, bo *powybierałeś* rozmaitych autorów zdania i kleiłeś je stosownie do potrzeby, a przytoczenie tytułów prac innych autorów, oprócz p. Petrowa, służyło — dla okrasy. *Traurig, aber wahr.* Zresztą jest to rzeczą p. Rawity, ja tylko muszę zauważyć, iż w mikroskopijnych artykułach pańskich nie szukasz ani myśli, ani poglądów autora, ale *słów*, które pozwalają zadowolić obrażoną miłość własną. Zamiast polemizować o wyrazy, pisz pan lepiej co *własnego*, pożytecznego. Po co te nicowania i reperacya? Dobry krawiec szyje z całej sztuki, a partacz — przerabia; szyj pan coś z własnej materyi, bo to, co znamy, jest zawsze wykrojone z cudzej.

Nie chcesz pan udzielić p. Rawicie patentu na znawcę, chociaż przyobiecałeś, mniejsza o to — słyszałem, że on już ma jeden, może mu to wystarczy, ale przynajmniej przebacz odwagę, że śmiał coś o przedmiocie pisać, na który pan już posiadasz monopol i mnie wspaniałomyślny obywatelu daruj, że śmiem myśleć inaczej i—za to, że panu nigdy nie odpowiem już więcej, gdybyś nawet co tygodnia cały numer *Roli* zapisał, a na łajanie żydów pozostawił tylko kącik w anonsach, bo bez tego *Rola* nie miałaby oczywiście bukietu.

Na zakończenie dla scharakteryzowania—niech tu sobie czytelnik doda co zechce — podajemy biuletyn giełdy społeczno-obyczajowej, według sprawozdania jednego z pism rosyjskich, z ostatniego tygodnia: Apatya—twardo. Społeczne wzruszenie—spokojnie. Na operetkę zapotrzebowanie wielkie. Poważnych książek nie żądają wcale. Liche romanse bardzo pożądane. Na blagę—zapotrzebowanie mocne. Kradzieże publiczne idą wybornie. Na łby miedziane zapotrzebowanie również silne. Bezsensowe gawędy bardzo są wysoko cenione. Ale z tego wszystkiego widać, że kursy stoją zawsze—nisko.

Gdyby z tego buletynu niewiele co wyrzucić, myślałbym, że to do nas wypito.

Fr. R.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 18 czerwca.

Zwycięstwo ultramontanów w Belgii. — O tron holenderski.—Boerowie.—Ruchy socyalistyczne. — Sprawy egipskie. — Wybory w Węgrzech. — Spór serbsko-bulgarski.

Najważniejszym wypadkiem ubiegłego tygodnia jest zwycięstwo klerykałów w Belgii. Liberalny gabinet Frère-Orbana posiadał w parlamencie znaczną większość i w ciągu ostatnich sześciu lat przeprowadził wiele antiklerykalnych ustaw, co w swoim czasie doprowadziło do zerwania z Watykanem. Ulegając wpływowi demokratycznych żywiołów, gabinet zgodził się na rozszerzenie praw wyborczych i ta właśnie zmiana zgotowała mu porażkę. Na czele nowego klerykalnego ministeryum stanął Malou, który już od 1870 do 1878 roku był ministrem. W Brukselli ludność przyjęła niechętnie rezultat wyborów, przyszło nawet do rozruchów ulicznych, które jednak policya prędko stłumiła.

Choroba niebezpieczna następcy tronu holenderskiego i zły stan zdrowia starego króla zwróciły uwagę na sprawę dziedziczenia korony w tym kraju, na który Niemcy spoglądają pożądliwem okiem. Według konstytucyi po śmierci króla i jego syna panowałaby czteroletnia córeczka pod opieką regencyi. Dla zapewnienia sobie pomocy myślą holendrzy zaręczyć to maleństwo z synkiem ks. edymburskiego, by tym sposobem zyskać życzliwość Anglii i Rosyi.

Boerowie, potomkowie dawnych osadników holenderskich, którzy niedawno szczęśliwie ukończyli wojnę z Anglią, wysłali poselstwo do Europy. Szczególniej przychylnie przyjęto przedstawicieli nowej rzeczypospolitej w Berlinie, prawdopodobnie ze względu na sąsiedztwo z nowo-założoną kolonią niemiecką w południowej Afryce, zawarto nawet z nimi traktat handlowy.

Organ socyalistów *Der Socialdemokrat*, wychodzący w Zurychu ogłasza nowy program partyi. Wobec reform Bismarka socyaliści zbliżają się do partyi wolnomyślnej, a przynajmniej wzywają ją do sojuszu. Jednocześnie prawie na różnych krańcach Europy rewolucyjna agitacya daje oznaki życia, chociaż objawy te nie są dla niej zgoła pomyślne. Zaledwie w Wiedniu sąd skazał na śmierć Stellmachera, rozpoczął się nowy proces przeciw anarchistom w Grazu, w Hiszpanii zaś stracono ośmiu członków stowarzyszenia „Czarnej ręki.“ Ale nietylko śmierć i więzienie świadczą o życiu partyi wywrotu. W Londynie pod przewodnictwem Liebknechta odbył się konwent międzynarodowy socyalistów, a irlandczycy po ostatnich zamachach zebrali w Ameryce taką sporą ilość składek, że zamierzają wkrótce przystąpić do nowych doświadczeń.

Ogłoszoną wreszcie została umowa angielsko-francuska w kwestyi egipskiej. Anglia zobowiązuje się dostarczyć skarbowi Kedywa 8 milionów f. sz., z których połowa pójdzie na wynagrodzenie strat poniesionych przez prywatne osoby podczas powstania Arabiego; wojska angielskie pozostaną w Egipcie do 1888 roku wreszcie Turcya dostarczy 15,000 ludzi i obsadzi załogami porty na morzu Czerwonem. Kontrolę nad finansami obejmie komisya międzynarodowa, w której przewodniczyć będzie Anglia. Tymczasem Mahdi posuwa się coraz dalej, wieści o wzięciu Berberu zaprzeczane przez anglików potwierdziły się; teraz znowu przychodzi wieść o zdobyciu Dongoli. Jeżeli tak dalej pójdzie, oznaczona na jesień wyprawa okaże się zapewne spóźnioną.

Wybory w Węgrzech, pomimo skandalów wyprawianych przez opozycyę, wypadną prawdopodobnie na korzyść rządu, chociaż większość straci może kilka głosów. Antysemici przeprowadzili dotychczas 13 kandydatów.

Spór serbsko-bulgarski doprowadził do zerwania stosunków między dwoma państwami, ale wzajemne groźby skończą się na niczem. Niemcy wzięły na siebie załagodzenie tej kwestyi, inne mocarstwa przyłączyły się również do nich. Bulgarya która wystąpiła zaczepnie będzie musiała uledz.

CUDZE GŁOSY.

Dniewnik Warsz. wystawia pochwalne świadectwo autorowi broszury polskiej *Prawdą nie fałszem* (Kraków 1881), przeciwstawiając go, jako jedynego historyka bezstronnego, wszystkim naszym badaczom ostatnich lat istnienia Rzeczypospolitej. Broszura ta zdejmaje z Rosyi odpowiedzialność za podział Polski, skutkiem tego — według *Dniewnika* —

„podrywa wiarę w jedno z tych kłamstw historycznych, które stanowią podstawę panujących między polakami poglądów.“

Dniewnik wszakże dodaje, że co autor obala, to już dawno obalonem zostało w literaturze rosyjskiej. Wobec przeto chwały wyłamania drzwi z tej strony otwartych, nie rozumiemy z tejże strony żalu, że dzielny autor okrył się bezimiennością.

Polemiczny bigos. P. Jan Lam ze Lwowa zaczyna ginąć od miecza, którym wojował. Ni mniej ni więcej, tylko taką skromną mówkę zamieścił *Dziennik polski* przeciwko redaktorowi *Strażnicy polskiej*:

„Ów Katylina sam jest *patentowanym złodziejem* i *oszustem*, którego w sądach polubownych przekonano, że jak *rzezimieszek* okradł ubogą rodzinę, który w wagonie kolejowym jak *bandyta* ograbił biedną guwernantkę, który przemysłowcom jak rewolwerowiec przesyłał odbitki szczotkowe pamfletów, który jak sykofanta żyje siłą presyi i groźbą *donosicielstwa*, który bywał *za drzwi wyrzucany, w policzki bity* itp.“

A teraz posłuchajmy, jakim bigosem uraczył p. Gniewosz p. Lama. Wybieramy z tego dania tylko oderwane kąski:

„Szubrawiec — opryszek — szuler — znikczemniały bandyta—płaz—plaga nietylko dziennikarstwa polskiego, ale kraju — niecny handlarz opinii publicznej—wstrętne bydlę—zwierzę, które wtenczas dopiero czuje się szczęśliwem, gdy może się walać w najohydniejszem błocie szynkownem—znikczemniony cynik—obrzydliwy pijak i kostera—denuncyant itd.“

Ambo meliores! — w wymyślaniu. Nie pytamy, dokąd prasa nasza w tym kierunku zajdzie, bo już do ostatniego jego kresu niektóre jej organa doszły. Doszły zaś nie w *zarzutach*, ale w *obelgach*.

DWIE MOGIŁY.

JAN ERNEST SMOLER.

Znaliśmy go dobrze.

Jako kwestarz śród pobratymców, zbierający ofiary dla ratowania łużyczan od germańskiego zalewu, przybył on przed pary laty wraz z przyjacielem swoim Hórnikiem do Warszawy, skąd

wywiózł na ten cel chętnie złożoną zapomogę. Był to jeden z tych wytrwałych i szlachetnych działaczów, którzy na zachodnich kresach słowiańskich stanowią opatrzność ludu.

Urodził się w górno - łużyckiej wiosce Luco przed 68 laty. Z gimnazyum udał się do uniwersytetu w Wrocławiu, gdzie zawiązał stowarzyszenie młodzieży serbskiej, zajmujące się ojczystą literaturą i językiem. Ukończywszy wydział teologiczny, otrzymał czteroletnie stypendyum do dalszych studyów. Odtąd nietylko pracował w nauce, ale i w życiu. Poważnem dziełem jego starań obywatelskich była założona w r. 1847 „Matica serbska,“ która jest dotąd nieocenionem źródłem dobroczynnych wpływów na umysłowość łużyczan. W r. 1846 objął w Lipsku redakcyę pisma *Slavische Jahrbücher*, później przeniósł się do Budziszyna, gdzie (1848—69) wydawał *Tydżenskie Nowiny* (od 1853 *Serbske Nowiny*), dalej *Łużiczana*, *Czasopis Maticy* i inne pisma łużyckie lub niemieckie, słowiańskim sprawom poświęcone. Oprócz zajęć dziennikarskich, wydał kilka zbiorów pieśni łużyckich i badań nad językiem, a nawet słownik niemiecko-serbski.

Nie był to głęboki uczony, ale gorący patryota i niestrudzony działacz na niwie narodowej. Pióra używał przedewszystkiem za broń do walki lub za środek do podnoszenia oświaty ludu. Stalmach, Miarka, poniekąd u nas Promyk, Smoler są ludźmi jednego gatunku. Praca ich napozór skromna, niebłyskotliwa, do podnóża społeczeństw skierowana, osiąga wielkie rezultaty, które ocenić by można tylko wtedy, gdyby kto zdołał wyśledzić jej skutki w głowach i sercach ludu. Lud też łużycki zapłacze szczerze nad mogiłą Smolera. Umarł w tej wiosce, w której się urodził.

BRONISŁAW CHLEBOWSKI.

Chlebowski należał do tych malarzy, których trzeba społeczeństwu przypominać, bo krążą zdala od niego a za mało posiadają talentu, ażeby odległość zapełnić u obcych zdobytą sławą.

Urodził się w Pokutyńcach na Podolu 1835 r.; kształcił się w Akademii petersburskiej a następnie jako stypendysta wyjechał do Monachium, Paryża, a wreszcie — na Wschód. Szybko zwrócił na siebie uwagę dygnitarzy tureckich, którzy popchnęli go aż do głównego ołtarza, wyrobiwszy przy sułtanie miejsce malarza nadwornego. Zawieruchy konstantynopolitańskie wypędziły go na dalszą wędrówkę: zatrzymywał się w różnych miastach Wschodu, głównie zaś w Kairze, a owocem studyów z tej epoki był obraz „Zdobycie Konstantynopola przez Mahmuda II.“ Zawadziwszy kilkakrotnie o Kraków, gdzie miał rodzinę, przesiedlił się ostatecznie (1876) do Paryża. Tu powstały jego utwory „Dziewica orleańska,“ „Tamerlan i Bajazet,“ „Sprzedaż niewolnicy“ i inne. Nie były to wcale arcydzieła, ale prace sumienne i cechami prawdziwego talentu odznaczone. Ich wartość obniżały nieco te wspaniałe obrazy, które obfitym szeregiem wyszły z pod pędzla polskiego.

Chlebowski umarł w Poznańskiem, uległszy nieuleczalnemu pomieszaniu zmysłów.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Szkoły. W Poznańskiem z ludnością cztery razy mniejszą niż w Królestwie znajduje się 20 średnich zakładów naukowych, a mianowicie: 14 gimnazyów, 2 progimnazya i 4 gimnazya realne.

— Szkoły dla nieletnich robotników mają być zakładane przez właścicieli fabryk, w pewnych razach rząd udziela im zapomogę. Dzieci starsze nad lat 12 winny uczęszczać do szkoły przynajmniej dziennie po 3 godziny. Program i zakres wykłady jak w zwykłych szkołach elementarnych.

Muzeum pszczelnicze rozwija się pomyślnie. Kapitał obrotowy wynosi około 50,000 rs. a akcye dały 7 i pół dywidendy. Muzeum w r. z. założyło 120 pasiek a własnych posiada 13.

Kara prasowa. Dziennikowi *Ruskija Wiedomosti* zabronioną została sprzedaż pojedynczych numerów.

Projekt. Każdy cyrkuł policyjny w Warszawie podzielony ma być na trzy dzielnice, czyli tz. kwartały, którymi zarządzaliby urzędnicy policyjni z oddzielną kancelaryą. Reforma ta zwiększy znacznie wydatki miasta na utrzymanie policyi.

Zmiana. W sferach rządowych podniesiono myśl przeniesienia zarządu gubernialnego podolskiego z Kamieńca do Winnicy.

Handel. Grono ziemian zawiązało spółkę dla handlu spirytusem na wzór podobnego przedsiębiorstwa istniejącego w Rewlu. Kapitał wynosi 300,000 rs. podzielonych na 400 akcyj.

Bank polski. *Ruskij Kurjer* podaje wiadomość, jakoby Bank polski miał być zamieniony na filię Banku państwa. Odpowiedni projekt został już władzom wyższym złożony.

Mianowanie. Na rektora uniwersytetu jagiellońskiego wybrany został prof. L. Rydel, znany okulista.

Pożar teatru. W niedzielę 15 czerwca wszczął się ogień w gmachu Teatru Wielkiego w pawilonie, mieszczącym bibliotekę i garderobę. Pożar wkrótce stłumiono; spłonęło jednak kostiumów i rekwizytów teatralnych na kilka tysięcy rs.

Koncertuje w Warszawie Tamberlik, słynny niegdyś Tamberlik, który straciwszy głos i zatrzymawszy jedynie górne jego tony, czaruje nas na kredyt swojej chwały... minionej.

Kobieta poseł. Wyborcy jednej z dzielnic Londynu mają zamiar głosować przy nowych wyborach do parlamentu na panią H. Taylor, pasierbicę John Stuart-Milla. Konstytucya angielska nie daje kobietom praw wyborczych, ale o wybraniu ich nic nie mówi.

Wzór stylu. Jedno z humorystycznych pism rosyjskich zamieszcza początek romansu, pisanego stylem urzędowym:

„Stosownie do rozporządzenia wyższej władzy zaczęła się wiosna. Drzewa i krzewy przyodziały przepisane uniformy. Słowik w krzaku nucił piosnkę dozwoloną“ itd.

Credo Stańczyka. Kronikarz krakowskiego *Przeglądu literackiego i artystycznego* podaje humorystyczne wyznanie wiary obywatela należącego do stronnictwa stańczyków: „Wierzę w Pawła Popiela wszechmogącego, stworzyciela stańczyków i w Stanisława Tarnowskiego syna jego jedynego, hrabiego i pana naszego, który się począł ze Stanisława Koźmiana, narodził się z Aleksandra Wielopolskiego, umęczon pod Tadeuszem Romanowiczem, ukrzyżowan, umarł, ale nie pogrzebion. Wstąpił do piekieł (po drodze mu było), trzeciego dnia zmartwychwstał, wstąpił do *Czasu*, siedzi na prawicy Pawła Popiela ojca wszechmogącego, stamtąd przyjdzie kadzić żywym i umarłym. Wierzę w Stanisława Koźmiana, w święty *Czas* powszechny, w „Baranów“ obcowanie, schweiggeldów odpuszczenie, głupstwa zmartwychwstanie i szwindel wieczny. Amen.

OFIARY.

Dla studentek polek w Petersburgu. Xy rs. 5.

Dla biednych. Albin Żbikowski kop. 50.

Sprostowanie. W nrze 22 *Prawdy* B. Gay na Kasę Mianowskiego rs. 1 zamiast kop. 50.

Sprostowanie. W poprzednim nrze *Prawdy* w korespondencyi z Galicyi zamiast „p. F. w *Kuryerze lwowskim*“ winno być „p. K. T.,“ który rzeczywiście jest autorem artykułu, wymierzonego przeciwko p. Br. Łozińskiemu i temiż inicyałami podpisanego.

Etyka Spencera wyjdzie w końcu czerwca lub w pierwszych dniach lipca.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 8 Iюня 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.